MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 2 WARSZAWA, 10 STYCZNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLSKA A GOSPODARSTWO ŚWIATA

MIĘDZYNARODOWE stosunki gospodarcze poszczególnych państw wyrażają się w trzech kierunkach: w obrocie towarów (handel zagraniczny), w obrocie kapitału (kredyt międzynarodowy), i w wędrówkach ludności (emigracja i immigracja). Między intensywnością ruchu towarów, kapitału i ludności zachodzi współzależność. Im jest więcej wolności w jednej dziedzinie, tem żywszy będzie ruch w innych; ograniczenia wolności w ruchu kapitałów paraliżują żywszą wymianę towarów, niemożność emigrowania podnieca protekcjonizm przemysłowy.

Państwo suwerenne ma pełne prawo regulowania swoich stosunków gospodarczych z zagranicą. W państwie narodowem nikt nie może poddawać w wątpliwość tego prawa. Naturalnym postulatem tego państwa jest osiągnięcie niezależności gospodarczej. Nie wynika z tego, że państwo narodowe musi być zamkniętem na zewnątrz. Nie każde państwo, choćby chciało, może się odgrodzić od zagranicy. Mogły tego dokonać stare cywilizacje dalekiego wschodu, względnie, jeszcze dawniej, cywilizacja egipska, ale dzisiaj nie jest to możliwem. Nawet z punktu widzenia obrony kraju konieczny jest import niektórych surowców czy półfabrykatów, za co trzeba płacić eksportem. A następnie żadne, najpotężniejsze państwo nie może zupełnie jednostronnie regulować swego udziału w gospodarstwie światowem. Działają tu różne konieczności gospodarcze, a prócz nich także czynniki polityczne; np. sojusz polityczno-wojskowy prowadzi nieraz do ściślejszej gospodarczej współpracy.

Określając nasz udział w gospodarstwie światowem, bierzemy pod uwagę, prócz naszych potrzeb, warunków geograficznych i dążeń polityczno-ekonomicznych, także i układ sił w świecie. Pod tym względem zachodzi duża różnica między w. XIX a w. XX. Rozpęd gospodarstwa światowego, potężny w w. XIX, stracił dzisiaj na sile. Nikt teraz w to nie wierzy, by poszczególne gospodarstwa narodowe miały tracić swą samodzielność i stawać się częściami większego gospodarstwa światowego. Tendencje autarkiczne są bardzo silne. Nacjonalizm jest z natury swej przeciwny nadmiernemu przystosowaniu się gospodarstwa narodu do międzynarodowego podziału pracy. I zresztą jeżeli dzisiaj najpotężniejsze imperia gospodarcze prowadzą nacjonalistyczną politykę gospodarczą, ubodzy krewni w rodzinie narodów muszą robić to samo.

Niezależnie od układu sił w gospodarstwie światowem, *nasze gospodarstwo narodowe musi dążyć do tego, by było pełnem gospodarstwem, by wszystkie działy produkcji były w niem reprezentowane.* Działa tu *wzgląd na kulturę gospodarczą narodu.* Specjalizacja ma przedewszystkiem zastosowanie wewnątrz gospodarstwa narodowego. Oczywiście że możemy znaleść zbyt zagranicą dla swoich specjalności, w których wyrażą się szczególne uzdolnienia produkcyjne. Ale nie wolno nam zdać się na dowóz zagraniczny w zakresie wielkich działów produkcji, nie wolno nam np. rezygnować z rozwoju przemysłu przetwórczego, bo taka specjalizacja oznacza nie tylko materjalne, lecz i duchowe zubożenie narodu.

Za poparciem różnostronnego rozwoju wytwórczości przemawiają także *względy czysto gospodarcze.* W świetle teorii liberalnej, propagującej wolny handel, przemysł w nowych krajach które przedtem go nie miały, był sztucznym tworem; jeszcze po wojnie zachęcali nas międzynarodowi bankierzy, byśmy zrezygnowali z protekcjonizmu przemysłowego, a w narzuconym planie pożyczki stabilizacyjnej z r. 1927 zawarte jest zastrzeżenie, że fundusze pożyczkowe mają iść na popieranie rolnictwa, względnie na przedsiębiorstwa państwowe, a nie na zwyczajny przemysł. Dzisiaj przemysł popierany jest przez wszystkie państwa, we wszystkich częściach świata i to już trzeba uważać za zjawisko naturalne.

Niewątpliwie protekcjonizm przemysłowy podraża koszty produkcji i wywołuje reakcję ze strony innych państw, które walczą o zagrożone rynki za pomocą dumpingu, finansowania konsumcji na kredyt i innymi sposobami. Protekcjonizm prowadzi do objawów, które nie zawsze mają gospodarcze uzasadnienie. Jednakże nad kalkulacją czysto gospodarczą przewagę mają nie raz względy społeczne. Poprostu trzeba rozwijać przemysł, by dać ludziom pracę, zwłaszcza gdy ci nie mogą emigrować. Rozwój nowoczesnego przemysłu wywołał przyśpieszenie tempa przyrostu ludności; z drugiej jednak strony przeludnienie kraju, który dotychczas był przeważnie rolniczym, stwarza konieczność forsowania przemysłu. Lepiej produkować drogo, aniżeli płacić zasiłki bezrobotnym, lub cierpieć nędzę małorolnych lub bezrolnych na wsi.

Wzgląd na to, by dać zatrudnienie jak największej ilości ludzi, powinien górować w naszej polityce wywozowej. Najpierw wysuwa się tu postulat, by ile możności wywozić gotowe produkty zamiast półfabrykatów, względnie półfabrykaty zamiast surowców. Trzeba wywozić jak najwięcej rezultatów pracy polskiego robotnika. Robocizna u nas jest tania, a więc wywóz produktów przemysłu przetwórczego ma rację bytu. Mimo ograniczeń handlu międzynarodowego, mimo systemu kontyngentowego, czynnik kosztu produkcji nie jest pozbawiony znaczenia. Jest bardzo ważnem zadaniem naszej polityki gospodarczej zmienić to co jest dzisiaj, kiedy w wywozie gotowych produktów jesteśmy na szarym końcu. A wywozić można nie tylko wytwory wielkiego przemysłu fabrycznego, lecz również i przemysłu domowego i rzemiosła, jak to robią inne kraje.

Wywóz z Polski jest w znacznym stopniu, jak zresztą i gdzieindziej, popierany przez różne premie, zniżki taryf kolejowych i t. d. Jeśli państwo nakłada na gospodarstwo te ciężary, ma obowiązek dbać o to, by ta polityka była najbardziej skuteczna. Premiowanie wywozu nie może być określane przez przypadek, ani też przez wpływy tej lub innej grupy interesów. Zależy na tem, by najmniejszym kosztem uzyskać największe wzmożenie wywozu; obok innych względów, również i tutaj trzeba dać pierwszeństwo tym gałęziom wytwórczości, w których na czynnik pracy przypada stosunkowo więcej w porównaniu z czynnikiem kapitału; innemi słowy, polityka eksportowa jest, poza swym bezpośrednim celem, narzędziem produktywnego zwalczania bezrobocia.

Idźmy dalej. W dzisiejszej dobie bardzo ważnym, czasami nawet przeważnym, argumentem na rzecz protekcjonizmu jest konieczność przystosowania gospodarstwa narodowego do celów obrony kraju. Polska musi mieć swój przemysł wojenny; musi mieć organizm produkcyjny, zdolny do wytwarzania materiału wojennego w razie gdy przywóz z zagranicy będzie utrudniony lub odcięty. Zapóźno o tem myśleć, gdy wybuchnie wojna. Przygotowanie na wypadek wojny musi objąć przemysł i rolnictwo już w czasie pokoju. Zakres przemysłu wojennego jest obecnie bardzo rozległy. Obejmuje nie tylko broń i amunicję, lecz i sprawy sieci komunikacyjnej, wyżywienia wojska i armii, surowców przemysłowych, Mobilizacja gospodarcza na wypadek wojny nie jest dzisiaj partykularnem zagadnieniem wojskowem; zrosła się w jedno z całą polityką gospodarczą i finansową państwa.

Przygotowanie wojenne przemysłu idzie w dwóch kierunkach. Po pierwsze trzeba tworzyć i rozszerzać zakłady przemysłowe, pracujące bezpośrednio na potrzeby wojska. Ale koszt ich utrzymania jest bardzo wielki, a w czasie pokoju mają one zbyt ograniczony. Dlatego też, po drugie, jest koniecznem tak zorganizować przemysł pod względem technicznym, by mógł łatwo przeobrazić się na przemysł wojenny. A więc protekcjonizm przemysłowy powinien dać pierwszeństwo tym rodzajom produkcji, które najlepiej nadają się do tego celu. Obok niektórych względnie nowych przemysłów (np. w dziedzinie przemysłu chemicznego) wchodzi tu w grę także i popieranie krajowych surowców, np. tekstylnych. Na tej drodze, pomijając już sprawę wyżywienia, rolnictwo nabiera wojskowego znaczenia.

Jak widzimy, wiele jest różnych argumentów, przemawiających za różnostronnością narodowej wytwórczości i polityką protekcjonizmu. Choćbyśmy jednak najdalej posunęli się w kierunku autarkicznym, nie oddzielimy się od świata. Niektóre surowce, np. górnicze, musimy sprowadzać. Jesteśmy zbyt ubodzy w kapitał, byśmy mogli, mimo niepomyślnych konjunktur, zrezygnować ze zdobywania go przez wywóz krajowych produktów, przez dodatnie saldo bilansu handlowego. By ten cel osiągnąć, nie wystarczy mieć towary na wywóz, trzeba ile możności samemu te towary wywozić do miejsca przeznaczenia (droga morska i własna flota handlowa) i samemu je sprzedawać. Nasz handel zagraniczny powinien być naprawdę czynnym handlem. Nie wolno nam popełniać błędów dawnej przeszłości, kiedy faworyzowało się zagranicznych kupców, przyjeżdżających do Polski, kiedy odstawiało się zboże i towar leśny tylko do Gdańska, a główny zysk z eksportu z Polski przypadał obcym przewoźnikom i pośrednikom.

Różnostronność naszej wytwórczości łączy się ściśle z postulatem różnostronności naszych stosunków handlowych z zagranicą. Jesteśmy krajem ekonomicznie słabym, a mamy potężnych sąsiadów. Nasz handel zagraniczny, mierzony w skali światowej, jest i będzie mały. Utrzymanie zewnętrznej niezależności gospodarczej zależy od tego, byśmy żadnemu z sąsiadów nie dawali bezwzględnej przewagi w naszym przywozie i wywozie, bo taka przewaga może mieć przykre konsekwencje polityczne. Ten postulat zresztą już w znacznym stopniu został zrealizowany. Minął czas, gdy handel z Niemcami stanowił więcej, niż $^1/_3$ całego naszego handlu zagranicznego.

Nie możemy dalej sformułować żadnej zasady co do tego, jakie rozmiary powinien przybrać handel zagraniczny. Oczywiście, że przy większych obrotach, w dzisiejszych warunkach, łatwiej jest uzyskać większą nadwyżkę wywozu nad przywozem, aniżeli przy obrotach mniejszych. Ale właśnie obecnie różne czynniki tamują rozrost handlu zagranicznego. Najważniejszym z nich jest kryzys, bodaj że nawet i upadek kredytów międzynarodowych w dawnych ich postaciach. Moratoria i bankructwa zniechęciły kapitalistów do lokowania kapitałów zagranicą. A jeżeli będzie mały obrót kredytów międzynarodowych, handel między-

narodowy również nie będzie wielki; te dwa zjawiska idą w parze.

Z narodowego punktu widzenia korzystanie z kredytu zagranicznego musi być uważane za zjawisko przejściowe, podobnie jak i kolonizacja przemysłowa obcego kapitału. Gospodarstwo narodowe może się zadłużać zagranicą, ale tylko w tym celu, by dzięki dopływowi kapitału wzmóc swe siły produkcyjne, skorzystać z obcych doświadczeń i by wreszcie spłacić długi i wykupić obce przedsiębiorstwa. Gdybyśmy mieli zależność od obcego kapitału uważać za coś stałego, gdybyśmy naszą pozycję, jako państwa dłużniczego, uważali za normalną, godzilibyśmy się na ograniczenie swej suwerenności gospodarczej; godzilibyśmy się na to, by zawsze pracować jako najmita u obcych lub dla obcych. W w. XIX niektóre państwa przeszły ewolucję od kraju dłużniczego do kraju wierzycielskiego i ta musi być linią przewodnią w stosunku do obcego kapitału. Możemy pożyczać, by z czasem spłacić długi; ale nie możemy pożyczać na opłacanie procentów od długów zagranicznych, w oczekiwaniu że jakaś katastrofa kredytu międzynarodowego uwolni nas od ich ciężaru.

Państwo dłużnicze musi mieć możność płacenia procentów i amortyzacji swoich długów. Niektóre kraje mogą mieć dochody z tranzytu, z ruchu turystycznego, oszczędności emigrantów, ale dzisiaj u nas niepodobna z tego oczekiwać wielkich wpływów. Głównym funduszem, z którego można czerpać na pokrycie tych zobowiązań, jest nadwyżka bilansu handlowego. *Caeteris paribus* kraj dłużniczy musi mieć czynny bilans handlowy, nie tylko we własnym interesie, lecz i dla utrzymania równowagi w gospodarstwie światowem. W w. XIX ten cel było łatwo osiągnąć — państwa wierzycielskie godziły się na to, że mają bierny bilans handlowy. Po wojnie tendencje do utrzymania względnie zdobycia nadwyżek w handlu zagranicznym u państw wierzycielskich, zwłaszcza w Stanach Zjedn. Am. Półn., doprowadziły między innemi i do niewypłacalności krajów dłużniczych.

Jeżeli wierzyciel zagraniczny chce otrzymywać procenty i spłatę kapitału, musi przyjąć w towarach potrzebne na to wartości. Innego sposobu nie ma. Dlatego też nie możemy pogodzić się z tem, byśmy w stosunkach do naszych wierzycieli mieli saldo handlu zagranicznego, równe zeru. Albo dodatnie saldo, rozluźnienie ograniczeń przywozowych w stosunku do krajów dłużniczych, albo też zawieszenie płatności długów zagranicznych.

Bez względu na to, czy jednostronnie egoistyczna polityka państw wierzycielskich ulegnie zmianie, walka o utrzymanie bilansu płatniczego będzie i nadal bardzo trudna. W tych warunkach należy zachować jak największą ostrożność w zadłużaniu się zagranicą, wogóle w zaciąganiu zobowiązań w stosunku do obcego kapitału. Szkodliwą jest zawsze lekkomyślność w zaciąganiu kredytu, a lekkomyślność ta w kredytach zagranicznych jest podwójnie szkodliwa.

Po pierwsze nie wolno pożyczać na wysokie procenty, jawne lub ukryte. A zawsze w pożyczkach połączonych z dostawą towarów, ukryty jest wysoki procent. Rozpiętość między stopą procentową kraju wierzycielskiego, z którym współzawodniczymy na rynkach światowych, a stopą kredytu zagranicznego, nie może być zbyt wielka, choćby ten kredyt był zużyty na cele produkcyjne. Nie może przemysł, płacący 10 lub 12% od pożyczek. współzawodniczyć z przemysłem korzystającym z dwuprocentowego kredytu.

Po drugie należy jak najmniej pożyczać na krótkie terminy. Różne kredyty towarowe, gdy przybiorą zbyt wielkie rozmiary, utrudniają zbyt krajowych produktów. A gdy przyjdzie depresja gospodarcza, wtedy zagraniczny wierzyciel bezwzględnie wycofuje swoje krótkoterminowe kredyty, jak o tem bardzo boleśnie przekonaliśmy się w okresie lat 1931 — 33. Kredyt zagraniczny podniecił w latach wysokiej konjunktury nasz rozpęd gospodarczy, stworzył w znacznej mierze ułudne pozory pomyślności, a potem przez swą gwałtowną zniżkę zaostrzył depresję. Nie możemy naszego gospodarstwa narażać na tak wielkie wstrząśnienia.

Po trzecie. Wolno pożyczać na cele produkcyjne, w szczególności na takie, dzięki którym podnosi się nasza wytwórczość, współzawodnicząca z importem zagranicznym, względnie wzrasta nasza zdolność wywozowa. Kredyty zagraniczne powinny bezpośrednio lub pośrednio służyć poprawie naszego bilansu płatniczego. Pokrywanie deficytów budżetowych przez zagraniczne pożyczki jest gorzką lekkomyślnością. Nie należy też zapomocą kredytu zagranicznego uruchamiać różnych urządzeń komunalnych, które stwarzają tylko trwałe dobra konsumcyjne, a nie wzmagają wytwórczości. To samo można powiedzieć i o budownictwie mieszkaniowem, uruchamianem za obce kapitały.

Osobny temat stanowi zagadnienie kolonizacji obcego kapitału. Ta kolonizacja ma swe historyczne uzasadnienie, w ten sposób powstawał przemysł w krajach, zapóźnionych w rozwoju gospodarczym. Oczywiście, że *à la longue* te różne przedsiębiorstwa, założone przez obcy kapitał, powinny normalną drogą przejść w nasze ręce. Mogą być pewne wyjątki, np. jakieś koncerny międzynarodowe, które mają swoje monopolistyczne metody produkcyjne, ale reguła pozostaje regułą. Obce przedsiębiorstwa należy wykupić; w dzisiejszych czasach trudno już się spodziewać, by się asymilowali obcy przedsiębiorcy, jak się to dawniej działo.

Można uznać pożytek obcej kolonizacji przemysłowej w tych przypadkach, w których istnienie danej gałęzi wytwórczości jest gospodarczo uzasadnione (czasami także i względami na siłę obronną kraju), a my sami, czy to ze względu na brak kapitału, czy też z braku warunków technicznych, nie możemy stworzyć tego lub innego rodzaju przemysłu. Kapitał zagraniczny, o ile przychodzi do kraju, powinien przynosić z sobą nowe realne wartości, a nie wykupywać za tanie pieniądze już istniejących krajowych zakładów przemysłowych. Jeżeli się dopływ tego kapitału uważa za pożądany, powinien on osiągać normalne zyski, ale nie może korzystać z przywilejów, niedostępnych krajowej wytwórczości. Państwo oczywiście musi nad tem czuwać, by ten kapitał nie miał niepożądanego zabarwienia politycznego.

Przejdziemy wreszcie do trzeciej grupy zagadnień gospodarstwa światowego — do zarobkowych wędrówek ludności. W przedwojennem gospodarstwie polskiem emigracja odgrywała olbrzymią rolę. Bodaj że to był najważniejszy nasz eksport, jeżeli tak wolno się wyrazić. Dzisiaj straciła swe dawne znaczenie. Nie dlatego, że zanikła nasza zdolność emigracyjna (co nastąpiło w wielu krajach Europy zachodniej), lecz poprostu ustały dawne możliwości emigracyjne. Nacjonalizm krajów zamorskich wyraża się w ograniczeniu i regulowaniu dopływu obcej ludności. Mimo to emigracja jest nadal ważnem zagadnieniem polityki społecznej i gospodarczej, wymagającem stosownego zajęcia się nią przez państwo.

Odróżniamy emigrację osadniczą i emigrację powrotną, jakkolwiek czasami jedna przeobraża się w drugą. Emigracja osadnicza, o ile nie prowadzi do podboju kolonii, zaludnianej przez kraj macierzysty, jest *malum necessarium*. Wcześniej czy później skończy się wynarodowieniem osadników. Tej straty nie równoważy dopływ oszczędności emigrantów, który trwa dopóty, dopóki ci osadnicy nie stracą związku z swą macierzą. Niemniej jednak państwo, które tych emigrantów wysłało, powinno dbać o utrzymanie ich związku z ojczyzną. Może też wyzyskać swoją emigrację w celu rozszerzenia eksportu swych wyrobów, opierając się na wspólności potrzeb. Robią to inne kraje np. w stosunku do swego wychodźtwa w Stanach Zjedn. Am. Półn., robi to i Polska, ale w bardzo szczupłym zakresie.

Żydowska emigracja osadnicza z Polski stanowi odrębne zagadnienie, omówione już osobno.

Emigracja powrotna może być albo emigracją sezonową (wędrówki na „Saksy"), albo też trwać dłużej, aż emigrant dorobi się pewnych oszczędności, z którymi wraca do kraju. W dzisiejszych naszych warunkach, zwłaszcza ze względu na trudności, związane z bilansem płatniczym, nie można lekceważyć tego czynnika. Ta ostatnia emigracja ma swe ujemne strony. Kraj, posługujący się obcym robotnikiem, stara się go pozbyć wtedy, gdy pogłębi się depresja. I wówczas wracają do ojczyzny ludzie, którzy w niej nie mogą znaleźć zajęcia, co oczywiście zaostrza sprawę bezrobocia. Ale mimo to nie zanosi się w najbliższej przyszłości na to, byśmy mogli zatrudnić na miejscu wszystkie nasze siły robocze.

Polski emigrant przed wojną był biernym objektem, którym rzucały po świecie obce mu siły. Z chwilą powstania państwa polskiego jest ktoś, kto jest obowiązany troszczyć się o niego, o jego związek z narodem, warunki społeczne i interesy materialne. Polityka emigracyjna ma bardzo rozległe zadania; jej skuteczność zależy od różnych czynników, także i od politycznego znaczenia państwa.

W ostatnich czasach coraz większej popularności nabiera idea posiadania kolonii przez państwo. Wskazuje się na naszą zdolność emigracyjną, na zapotrzebowanie surowców egzotycznych. Ale nietylko te względy wchodzą tu w rachubę. W życiu narodów ogromną rolę wychowawczą odgrywają ich zamorskie związki, ich zdolność do ekspansji poprzez oceany. Horyzont narodu, który się zasklepił na swem terytorium i ma stosunki tylko z najbliższymi sąsiadami, jest niezwykle ciasny. Dlatego też, mimo ogromnych trudności, mimo tego, że niemal niemożliwem jest znaleźć nie zajęte miejsce w świecie, nie wolno nam idei kolonizacyjnej traktować jako romantyzmu ludzi, dalekich od realizmu życiowego. Ciężko jest coprawda w tej dziedzinie odrabiać zaniedbania przeszłości. Ale trzeba zrobić wszystko, by nie dać powodu do skarg, podobnych tym, które wypowiedział z końcem w. XVI ks. Piotr Grochowski: „Inne narody krzewią się i mocnią po świecie szeroko... krzewią się Hiszpanie, Włochy, Anglikanie po wyspach i brzegach morskich nieskończonych, po Indiach szerokich i bogatych... Jedna Polska nie rozszerza się..." (Polska Niżnia albo Osada Polska, r. 1596).

ROMAN RYBARSKI

ŻYDZI W ANGLII

KORESPONDENT londyński jednego z poważnych dzienników warszawskich doniósł nam przed miesiącem co następuje: „W literaturze angielskiej nie ma ani jednego wybitnego nazwiska żydowskiego. Prasa angielska jest cała w rękach Irlandczyków i Szkotów. Wśród dziennikarzy angielskich nie spotyka się zgoła żydów. (Jedynym żydem redaktorem pisma angielskiego był do r. 1930 redaktor „Daily Expressu" Blumenfeld). Finanse, bankowość, ubezpieczenia są niemal w stu procentach w rękach angielskich. Jest co prawda kilka domów bankowych żydowskich, Rotschildów, Japhetów, Lazardów, Seligmanów, ale te nie odgrywają dominującej roli w bankowości angielskiej, są raczej zależne od banków angielskich. Wśród banków clearingowych niema ani jednego banku żydowskiego. Nie ma żydów w szkolnictwie, w adwokaturze, w medycynie, w nauce".

Przecieramy lekko oczy, nie wierząc temu, co widzimy wydrukowane czarno na białem. Po pewnym namyśle sądzimy, iż korespondent londyński pisma warszawskiego uległ pewnemu złudzeniu, powiedzmy — złudzeniu optycznemu, no i nie dojrzał potęgi i wpływu żydów w Anglii, a ściślej mówiąc w zjednoczonem Królestwie.

Nie roszcząc bynajmniej pretensji do wyczerpania tak obszernego tematu, postaramy się jednak w ogólniejszym choćby zarysie uwidocznić istotne znaczenie żydów w życiu angielskiem. Liczba żydów w Anglii dochodzi do miliona, aczkolwiek oficjalnie wykazuje się ich mniej; ostatecznie to nie wiele, jak na olbrzymie imperium wielkobrytyjskie, ale ważniejszą rzeczą jest nie ilość ich, lecz wpływ, jaki wywierają.

A ten wpływ jest ogromny. Przedewszystkiem tak zwane wyższe sfery są ogromnie zżydziałe, raz dlatego, że bardzo dużo zbogaconych żydów otrzymuje tytuły lordów, baronetów, nawet książąt, zmieniając przytem nazwiska, a powtóre małżeństwa mieszane spowodowały, iż tylko bardzo mała część starych rodów zachowała krew czystą

bez żydowskiej domieszki. Stąd pochodzi, że w Anglii mamy szlachtę i artystokrację żydowską bądź żydowskiego pochodzenia. Można wymienić conajmniej 12 nazwisk żydów należących do arystokracji angielskiej (z tytułami książę, hrabia, wicehrabia, baron, sir), bądź pochodzącej od żydów: Książe Richmond jest wnukiem żyda Ricarda, znanego ekonomisty; Książe Craven pochodzi z rodziny żydowskiej. Po matce znów krew żydowską ma wicehrabia Chetwynd, z żydów pochodzi baron Auckland, baron Brabourn, pochodzenia żydowskiego jest również hrabia Birkenheed, wicehrabia Esher, wicehrabia Locedoun i td. Pomijając zmianę nazwisk przy otrzymywaniu tytułów, żydzi wogóle, zwłaszcza w krajach anglosaskich, zmieniają nazwiska. Skoro w Japonii Izak Cohen przekształcają w Hisakira Kano, cóż dziwnego, że w Anglii pod nazwiskami angielskiemi mamy rdzennych żydów: Trzeba więc mieć to na uwadze.

Nikt nie zaprzeczy, że wpływ żydów w rządzie, polityce, na giełdzie, w prasie jest ogromny.

Poczynając od żyda Disraelego (lorda Beaconsfielda), wpływ żydów na politykę angielską wzrastał coraz bardziej. Że żydzi sprowokowali wojnę burską, jest już dziś uznanym faktem historycznym, wyświetlona jest bowiem rola bankierów żydowskich z Johannesburga, jakoteż domu handlowego Eckstelna, przedstawiciela wielkiej firmy Wernher-Beit, opłacającego ochotników i przechowującego w swch składach broń przeznaczoną dla awanturniczej wyprawy Jamesona.

Podczas wojny światowej marszałek polny Douglas Haig miał sekretarza, zdawałoby się nic wielkiego, bo sekretarz był w stopniu porucznika, ale ten porucznik nazywał się Filip Sassoon. Multimiliarder, wywodzący się z Bombaju, matka jego, to córka barona Gustawa Rotschilda. Olbrzymie wpływy na Wschodzie: Kalkuta, Szanghaj, Kanton, Hongkong. Banki, kopalnie, bawełna, monopol opjumowy w Chinach. W czasie konferencji pokojowej Sassoon był sekretarzem Lloyd Georga, który zresztą pozostaje w zażyłej przyjaźni z Rotschildami i Rufusem Isaacsem. Charakterystyczne, że Lloyd George, jako delegat Anglii, mieszkał podczas konferencji w Cannes u żydowskiego bankiera Sterna, a różnych zagranicznych dyplomatów przyjmował w willi Sassoona. Ale posłuchajmy, jak to było z Isaacsem, prokuratorem generalnym (*attorney general*). „Amerykańska spółka „Marconi Wireless Telegraph Company" starała się o doniosłe koncesje w Anglii. Na krótko przed ich udzieleniem (w maju i czerwcu 1912) trzej członkowie rządu kupili po kilka tysięcy udziałów. Byli to Isaacs, lord Murray of Elicank i Lloyd George, który później sprzedał swe udziały z zarobkiem około 100%. Lloyd George i Isaacs przeprowadzali jeszcze i inne operacje tego samego rodzaju. Głównie przeciw drugiemu zwracał się wniosek lorda Roberta Cecila, zawierający groźną formułę: „Jesteśmy zdania, że prokurator generalny popełnił poważną niewłaściwość, nabywając korzystnie udziały amerykańskiej Marconi Company za radą i informacjami, podówczas niezupełnie dostępnemi dla ogółu, a otrzymanemi od naczelnego dyrektora angielskiej Marconi Company". Lecz Lloyd George zdołał zapobiec przyjęciu wniosku przez Izbę Gmin, a później za czasów swej wszechwładzy przeforsował mianowanie Isaacsa wielkim sędzią (*Lord Chief Justice*) — drugie stanowisko w sądownictwie angielskim. Przy tej sposobności jedna z gazet wystąpiła z poważnym zarzutem przeciwko sir Rufusowi Isaacsowi. Mianowicie miał on niegdyś, chcąc zostać członkiem giełdy londyńskiej, złożyć fałszywą deklarację co do swego wieku. Zarzut poparty był cytatami z dokumentów. Nikt go nigdy nie odparł, a Lloyd George ostatecznie uwieńczył świetną karierę Isaacsa tytułem lorda i godnością wicekróla Indii. A weźmy pod uwagę, że do rządzenia Indiami powołano trzech żydów: Rufusa Isaacsa, obecnie lorda Readinga na stanowisko wicekróla, wysokim komisarzem w Delhi był Wilhelm Meyer, a sekretarzem stanu do spraw Indii w Londynie M. Montagu.

Zarządcą, gubernatorem Australii (*Governor-General of Australia*) został żyd sir Isaac Isaacs, zarządcą Australii południowej-Montefiore, Quennslandu — Mateusz Nathan: Nowej Południowej Walji—Solomons. Ministrami w gabinetach dominjalnych są także żydzi: Salomon Cohen, Samuel, Moss, i tp.

Żyd Herbert Samuel został wysokim komisarzem w Palestynie.

Żyd Maurice Hankey, wysoki dygnitarz, przed wojną światową był członkiem wielu gabinetów, podczas wojny ministrem wojny, po wojnie delegatem rządowym na wiele międzynarodowych konferencji, np. waszyngtońską, reparacyjną i t. p., jest autorem głośnego raportu w sprawach robotniczych. Współpracuje z tak zw. PEN'em (*Political and Economic Planning*), odzwierciedlającym wpływy i prądy żydowskie. PEN jest to, mówiąc krótko, bolszewizm cichaczem.

Angielska delegatura do Ligi Narodów składa się w dużej mierze z żydów, a sir Eric Drummond z hrabskiego rodu w dzień przyjazdu do Genewy złożył swą czołobitność wielkiemu rabinowi. Wymowne.

Za rządów Lloyd Georga, Asquitha, żydzi opanowali coraz więcej sfery rządzące, finanse i prasę. Balfour był dwukrotnie żonaty z żydówkami, a przecież Balfour to nie byle kto: ma wysoki tytuł rodowy, zajmował urzędy ministerialne, obejmował różne dygnitarstwa i jest grubą rybą w polityczno społecznem życiu angielskiem.

Korespondent londyński dziennika warszawskiego pisze: „Tu, w tym kraju anglikańskim, nawet katolikowi trudno jest uzyskać patent oficerski, a cóż dopiero mówić o Żydach." Katolikowi być może trudno jest uzyskać w Anglji patent oficera, co się zaś tyczy żydów to w samym „*Air Service*" znajdowało się ich do niedawna dziewiętnastu w stopniach majorów, pułkowników itd., zajmujących różne stanowiska i urzędy zgoła nie bagatelne, lecz wysoce odpowiedziaine, a więc: benzyna, smary, telefony itp. Co więcej, „*Air Service*" czyli ministerjum lotnictwa liczy jeszcze w swoim składzie następujących żydów: generała Loewensteina, który się nazywa z angielska Livingstone, majorów Meyrsa i Blumenfelsa, kapitana Killmayera, poruczników Simona i Marksa.

Chyba dostateczna ilość żydów i to w różnych stopniach wojskowych w jednym tylko ministerstwie lotnictwa, którego podsekretarzem stanu jest Baird, a sekretarzem jego żyd Steinberg. Sir S. F. Mendl jest członkiem rady doradczej wydziału zakupów dla armji przy Min. Wojny; drugi zaś Mendl, Charles, jest attaché prawnym w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu. A co się tyczy żydów w armji i to posiadających wysokie szarże oficerskie, można wymienić: sir C. Rosenthal, generał major; sir C. E. Pereira, generał — major; sir J. S.

J. Perry (a właściwie Baumgarther) — generał major. No i wreszcie sir F. L. Nathan w latach 1915 1919 minister uzbrojenia. Przykładów chyba dość.

W prasie wielkie posiada wpływy bankier żyd Cassel; właścicielem dziennika „*Westmister Gazette*” jest Alfred Mond, który zmonopolizował eksploatację niklu i handel chemikaljami, a jest zarazem kierownikiem wydziału ekonomicznego ruchu sjonistycznego. Pomijając ogromną rolę Alfreda Moritza Monda, obecnie barona Melchetta, jaką gra w życiu finansowo-przemysłowem Anglji, zajmuje on również wysokie godności społeczne i był parokrotnie ministrem. Alfred Mond pospołu z Rotschildem, Josephem Cowenem, dr. Chaimem Weizmanem i niedawno zmarłym Nahumem Sokołowem, ojcem korespondenta londyńskiego „*Gazety Polskiej*”, tworzą zarząd organizacji sjonistycznej. Wyłącznym właścicielem wielkiego dziennika „*Daily Telegraph*” był do niedawna wicehrabia Burnham, a właściwie żyd Edward Levy z Niemiec, później sięprzekształcił w Harry Lawsona.

(Dok. nast.) M—n

NIE WSKRZESZAJMY ŻYWYCH

OD CZASU odzyskania przez naród polski niepodległości, co parę lat występuje ktoś z projektem zmiany hymnu narodowego.

Droga sercu polaków piosenka „Jeszcze Polska nie zginęła”, która była powszechnie uznawana za hymn narodowy przez całe stulecie niewoli i która po zmartwychpowstaniu Rzeczypospolitej Polskiej została uznana za oficjalny hymn państwowy, budzi coraz częściej rozmaite zastrzeżenia. Jedni twierdzą, że ponieważ słowa tej piosenki postradały aktualność, należy je koniecznie zmienić, bo w ustach narodu niepodległego, nie ma sensu obietnica, iż „co nam obca przemoc wzięła mocą odbierzemy.” Nawiasem mówiąc, ludzie wysuwający zarzut powyższy najoczywiściej zapominają, iż nie wszystkie terytorja zamieszkałe przez naród polski, nie wszystkie ziemie należące niegdyś do Rzeczypospolitej, zdążyliśmy już „mocą odebrać”. Inni znów utrzymują, że skoczna, taneczna melodja „Mazurka Dąbrowskiego” nie licuje z powagą majestatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, że jest za błaha, za wesoła, za mało reprezentatywna. Zasługująca ze wszech miar na gruntowne przemyślenie przez czynniki powołane była propozycja uznania za oficjalny hymn narodowy tej melodji, na którą dzisiaj śpiewamy kolendę „Bóg się rodzi”, a która podobno niegdyś była ceremonjalnym dworskim polonezem, grywanym w uroczystych okazjach za Władysława Czwartego. Majestatyczny ów polonez z czasów największej potęgi mocarstwowej Rzeczypospolitej istotnie posiada na reprezentacyjny hymn państwowy kwalifikacje znakomite. Było parę innych propozycji, przeważnie niefortunnych. Czasopisma (najmniej do tego powołane) rozpisywały konkursy na hymn narodowy. Najbardziej niefortunnym okazał się projekt stworzenia nowego hymnu narodowego przez połączenie melodji „Mazurka Dąbrowskiego“ z melodją „Pierwszej Brygady”.

W noworocznym numerze Warszawskiego Dziennika Narodowego pan Jędrzej Gertych zamieścił artykuł p. t. „Wskrześmy najstarszy nasz hymn”. W artykule owym proponuje „wskrzeszenie” hymnu „Bogu Rodzica” i uznanie go za hymn narodowy. Pisze:

„Hymn ten prowadził nasze hufce do zwycięstwa na błoniach Grunwaldu. Śpiewany był ongiś przez nasze wojska w każdej bitwie i na każdej wojnie. Ostatni raz śpiewany był pod Wiedniem. Bo też — wyprawa wiedeńska była ostatnim wielkim czynem zbrojnym Polski. Po nim pierwszą w naszych dziejach militarnych rzeczą wielką była — po latach 237-u — bitwa sierpniowa 1920 roku. Jaka szkoda, że w bitwie tej wojska nasze pieśni Bogurodzica nie śpiewały! Zwłaszcza, że była to tak samo, jak w r. 1683, walka nie tylko z wrogiem kraju, lecz i z wrogiem wiary. Zapewne nieraz jeszcze naród nasz prowadzić będzie wojny. Niechże w wojnach tych nie zbraknie równie nieodłącznie, jak sztandary i białe orły związanego z naszą tradycją wojenną symbolu, jakim jest pieśń Bogurodzica!

Niechże pieśń ta w ustach narodu ożyje! Niech się stanie znowu jednym z naszych hymnów narodowych! Najstarszym, a więc najszanowniejszym. Zanim ją zacznie śpiewać Polska Armia — niech ją zaczną śpiewać polscy narodowcy! Niechże więc urzeczywistni się hasło, by każdy narodowiec, by każde koło Stronnictwa Narodowego umiało śpiewać i śpiewało — pieśń Bogurodzica!”

Trudno mi zrozumieć życzenie pana Jędrzeja Gertycha, żeby pieśń Bogu Rodzica „stała się” dopiero teraz, czy w przyszłości (pan Gertych pisze „Niech się stanie”) „najstarszym, a więc najszanowniejszym” hymnem narodu polskiego Przecież pieśń ta jest już najstarszym i najszanowniejszym hymnem od dawien dawna. Oczywiście nikt nie może mieć nic przeciwko temu, żeby „każdy narodowiec” i „każde koło Stronnictwa Narodowego umiało śpiewać pieśń Bogu Rodzica i żeby ją śpiewało w uroczystych okazjach. Ale dziwnie brzmi nawoływanie do „wskrzeszenia” tego hymnu, który przecież nigdy nie umierał. Wojsko polskie nie śpiewało tej pieśni na polach walk od czasu bitwy pod Wiedniem? Może to i prawda, ale napewno nie przez brak pobożności, tylko poprostu dlatego, że nowoczesna taktyka bojowa coraz mniej na śpiewanie podczas bitwy pozwalała. Chóralnego śpiewu na polach bitew wieku dwudziestego niepodobna sobie wyobrazić. Łatwiej było śpiewać chórem husarzom, niż żołnierzom zarytym pod ziemią, pozamykanym w tankach i aeroplanach Niech pan Gertych spróbuje pośpiewać sobie cokolwiek w masce gazowej. Przekona się, że to bynajmniej nie łatwo i że śpiew najwznioślejszego hymnu wypadnie nieefektownie.

Pozatem należy stwierdzić, że naród polski pieśni Bogu Rodzica nigdy nie zapominał. Śpiewano ten najszanowniejszy hymn podczas uroczystych polowych i kościelnych nabożeństw za czasów niewoli, w dobie walk o wyzwolenie, podczas wojny, i śpiewa się go dzisiaj w najsolenniejszych okolicznościach. Niedawno śpiewano go na Jasnej Górze podczas uroczystości ślubowania akademickiego. Czego właściwie pan Gertych sobie życzy? Żeby pieśń Bogurodzica była wyśpiewywana tak często i w takich samych okazjach, w jakich słyszymy obecnie „Mazurka Dąbrowskiego” i „Pierwszą Brygadę”? Ależ chroń nas Boże od takiego spospolitowania owej czcigodnej pieśni!

Chroń nas Boże od tego, żeby Bogurodzica rozlegała się przy wszelkich uroczystościach narodowych, państwowych, szkolnych, pułkowych, dyplomatycznych, administracyjnych, rodzinnych, korporacyjnych i towarzyskich. Żeby ją wygrywała orkiestra wojskowa na byle dworcu kolejowym dla uczczenia byle dygnitarza. Żeby dźwięki jej — jak dźwięki wszystkich hymnów oficjalnych — rozlegały się po knajpach i dancingach. „Hymnem narodowym" w powszechnie utartem tego wyrażenia znaczeniu pieśń Bogu Rodzica stanowczo być nie powinna. W znaczeniu szerszem hymnem narodowym jest od wieków i „stawać się" nim dopiero nie potrzebuje. O śpiewaniu jej na polach bitew w dobie motoryzacji mowy być nie może. Tem bardziej Bogu Rodzica nie nadaje się na hymn partyjny w rodzaju „Giovinezzy". Nie godzi się, aby młodzi członkowie Stronnictwa Narodowego śpiewali w przyszłości pieśń Bogu Rodzica naprzykład zamiast dotychczasowego „Hymnu Młodych". Wprawdzie tekst „Hymnu Młodych" posiada wady i trzeba go koniecznie czemprędzej poprawić, bo serce boli, gdy się słyszy refren: „Naprzód idziem w skier powodzi" (powódź skier to przecież taki sam nonsens, jak pożoga kropel) ale zastępowanie „Hymnu Młodych" „Bogurodzicą" przy byle manifestacji politycznej, to byłaby poprostu profanacja.

STEFAN GODLEWSKI

KIPLING JAKO POETA

(Dokończenie)

KIPLING zanadto hołdował zakorzenionemu u Anglików lekceważeniu dla Irlandczyków. Traktował ich zazwyczaj z dobroduszną wyższością, choć szanował w nich doskonały materiał wojskowy. Oto wiersz „Zagadkowy człowiek" (t. j. Anglia). Słyszymy tu, że Celt od Builth do Ballyhoo wciąż gada, zawsze więc wiadomo, co zrobi. Przeciwnie Anglia odznacza się powagą wołu i psychiką wołu. Rzuci żywotne sprawy dla „źdźbła trawki" (n. p. dla poetów), lecz z tego źdźbła zrobi „nawój tkacki" (tak pismo św. nazywa potężny oszczep Goliata) i rozwali nim głowę nieprzyjacielowi. Motywy swego postępowania wyjawi czasem dopiero w palarni klubu, gęsto przeplatając mowę różnemi ehe i hm. Niech tymczasem Celt gada — od Walencji (naturalnie irlandzkiej) do Kirszwall (gdzie mieszkają Celtowie szkoccy), ale Anglicy milczą, Oto charakterystyczny, a pełny humoru, choć bardzo uproszczony obrazek psychologii porównawczej narodów.

Gdy w samym przededniu wojny światowej spowodu zatargu o samorząd (*Home Rule*) Irlandji na Zielonej Wyspie stanęły naprzeciw siebie zbrojne organizacje ochotnicze, gotowe walczyć o to, kto będzie panem na niej (na północy słynna armia Curzona), Kipling uderzał w akordy bojowe. Nie mieściło mu się poprostu w głowie, aby Irlandczycy mogli sami rządzić w swym kraju Nie wchodził w żadne dociekania ani subtelności i wołał: Władamy tu od wieków i nie ustąpimy ani kroku.

Lecz w powietrzu była groźniejsza burza. Już w r. 1913 pisze Kipling piękny wiersz na cześć sprzymierzeńca z za Kanału La Manche, zatytułowany krótko „Francja". Mówi, że Francję kocha każda dusza, która kocha ludzkość i służy ludzkości. Zapuszcza się myślą z zamierzchłe czasy, kiedy dwoje bliźniąt, (Anglia i Francja) leżało w łonie Romy i niecierpliwiły się oczekując momentu narodzin, aby rozpocząć walkę ze sobą. Tysiąc lat tej walki stworzyło między nimi prawdziwe braterstwo. Kipling niezbyt fortunnie wspomina tu nawet o „nieśmiertelnym" (to jest niczem nie dającym się zgładzić) „grzechu spełnionym wspólnie na targowicy w Rouen" t. j. o spaleniu Dziewicy Orleańskiej. Prawda, że na czele sądu duchownego stał francuski biskup, ale o wspólności grzechu, pięćdziesiąt procent na pięćdziesiąt, chyba mówić nie można...

Wybuchła wojna światowa. Kipling prowadzi propagandę prozą i wierszem. Pisze między innymi utwór na cześć „Gwardji irlandzkiej", wyrażając radość, że jak walczyła niegdyś ramię przy ramieniu z Francuzami pod Fontenoy przeciw Anglikom, którzy ponieśli tam klęskę, tak obecnie walczy znów ramię przy ramieniu z nimi, ale już po stronie Anglii.

Ze względu na niezwykły pomysł wymieńmy jeszcze jeden wiersz z tego czasu. W XVII w. purytański kaznodzieja i mistyk Bringan napisał „Świętą wojnę", alegorię walki złych i dobrych mocy o duszę ludzką, którą przedstawił jako twierdzę. Pomysł był zapewne zapożyczony z misterium średniowiecznego. Kipling skolei pożyczył od Bringana i tytułu i alegorii aby wołać z prostoduszną, a zaciętą emfazą: „Nie ma układów z diabłem, dopóki stoi w prawdach twierdza duszy ludzkiej!". Można nie być ani antymilitarystą, ani germanofilem, a czuć, że struna została przeciągnięta. Wiersz jest niewątpliwie objawem osłabnięcia zdolności twórczych i zaniku autokrytyki.

Imperializm Kiplinga przybiera czasem formy drapieżne, wprost barbarzyńskie. Jak upiór straszy mnie od szesnastego roku życia jedna z „Ballad Koszarowych". Boh da Ton był wodzem partyzantów burmańskich. „Krzyżował szlachtę, kaleczył pospólstwo, lał naftę w gardło starszym damom, gdy za morzem gazety pisały; pariota walczy za ojczyznę. — Lecz utrudzeni żołnierze w mundurach khaki niewiele sobie robią z ojczystej prasy." Kipling jak najczęściej używa dwóch farb, czarnej i białej. Kolorowy człowiek to przedstawiciel piekielnego okrucieństwa, europejczyk niesie na bagnetach cywilizację. Stare argumenta, ale nie podobały się Anglikom, gdy szło o Abisynję...

Dzielny oficer angielski postanowił sobie, że musi mieć głowę Boh da Tona, lecz dziki wódz wymknął mu się z parokrotnie, a w jednej z potyczek w ciele kapitana utkwił pocisk, zrobiony z drutu. Takie rany jątrzą się fatalnie. Leżącemu w gorączce oficerowi przywiduje się ustawicznie głowa Boh da Tona. Przyszedłszy po jakimś czasie do zdrowia, otrzymuje on lżejszą służbę w spokojnych stronach, żeni się i zażywa szczęścia małżeńskiego. Tymczasem Boh da Ton urządził zasadzkę na transport angielski i padł w tej walce, a dowódca transportu, stary Hindus z intendentury, posyła kapitanowi upragnioną głowę (z rachuneczkiem). I młody małżonek przez chwilę nie widzi ani domu, ani złotych pukli żony, jeno wpatruje się w oblicze zabitego wroga...

Trzeba było dla zupełności obrazu poruszyć ujemne strony twórczości poetyckiej (i ideologji) Kiplinga. Z ich powodu nie brak w Anglji ludzi, którzy od utworów zrodzonych z imperjalizmu, wolą proste opowiadania lub nastroje wierszowane. Sławna jest n. p. „*Manvelay*". Temat stanowi

tu wspomnienie burmańskiej dziewczyny, tak prześladujące białego żołnierza, że w pewnej chwili rzuca on Angielkom w oczy obraźliwe słowa: Żadna z was jej niewarta!

Utwory, w których patrjotyzm Kiplinga przybiera formę imperjalizmu, budzą zastrzeżenia etyczne. Nie budzą ich te, w których jego patrjotyzm trzyma się w granicach własnego kraju i jest tylko gorącem ukochaniem rasy, mowy, obyczaju, przyrody, przeszłości angielskiej. Ten nastrój odpowiada przeważnie pierwszym latom, spędzonem w wiejskiem otoczeniu kraju ojczystego — po Indjach, dalekich podróżach i Ameryce. W szeregu wierszy z owych lat — ale nie we wszystkich — widać pewne złagodnienie temperamentu, pewien sentymentalizm, którego Kipling byłby wstydził się dawniej. Pisze on teraz dwa zbiory nowel, „Puk z Pook's Hill" i „Nagrody i elfy", połączone myślą przewodnią i aparatem nadprzyrodzonym: ostatni żyjący w Brytanji elf pośredniczy między dwojgiem dzieci a postaciami z przeszłości kraju, które przyprowadza aby opowiadały o sobie i o dawnych czynach. Są to książki, pisane dla młodego pokolenia z myślą przelania w jego serca własnych uczuć. Jak zwykle Kipling uzupełnia prozę utworami poetyckiemi. Niektóre z nich odznaczają się właśnie pośród poezji Kiplinga tonem sentymentalnym, czasem wprost rzewnym, i motywami folklorystycznemi. Ma się wrażenie, iż na lśniącą zbroję imperjalisty spływa raz po raz łza poety, zmiękczonego szumem drzew południowej Anglji i wsłuchującego się w echa przeszłości. Zamiast analizować te wiersze, wolę czytelnika odesłać do „Puka z Pukowej Górki" w przekładzie p. Birkenmajera.

„Nagrody i elfy" czekają jeszcze na tłumacza. Z tego więc tomu wybieram nowelę „Glorjana", aby na niej zilustrować znaną kiplingowską metodę wzmacniania efektu utworów prozaicznych poetyckiemi.

Jako Glorjanę (a także pod innemi imionami) wprowadził był niegdyś Edmund Spenser chciwą pochlebstw Elżbietę do swej epopei. Ona to wyznacza rycerzom zadania i wysyła ich na przygody. Kipling nawiązuje do tradycji Spensera w wierszu wstępnym, przypominającym żywo dźwięczne liryki elżbietańskie formą, a także częstem użyciem uosobień. Mowa tu o Męstwie i Niewinności, które młodo zginęły, bo ostatnie poszły „na pewną śmierć, złączoną pewną hańbą z pocałunkiem Belfeby na ustach".

Opowiadającą osobą, przyprowadzoną przez Puka, jest w noweli sama Elżbieta. Jawi się dzieciom taka, jaka była za życia — wystrojona, podmalowana, roztańczona. Tańczy zresztą z monarszą powagą. Podczas jednej z podróży po kraju przyjmowano ją na łonie natury, zastawiając ucztę u stóp potężnego dębu. Wtem ktoś przyniósł list od Filipa hiszpańskiego, którego królowa dlugo zwodziła nadzieją małżeństwa. Król pisze o swych miłosnych cierpieniach, lecz równocześnie skarży się na korsarskie wyprawy Anglików i grozi odwetem. Jedno zdanie wydaje się Elżbiecie aluzją do zamorskiego kraju, który mógłby odegrać rolę w wyprawie Hiszpanów przeciw Angji, lecz królowa nie wie, co to za kraj, a nie chce nikogo prosić o wyjaśnienie. Rozmyśla nad tem, rozmawiając i tańcząc, gdy straż donosi, że rozbroiła pojedynkujących się dwóch młodych ludzi, którzy poprzednio usługiwali Elżbiecie przy uczcie. Jest jasne, że szło o względy Glorjany, więc ta wybacza łatwo gardłowe przestępstwo (dobycie miecza w pobliżu osoby monarszej) i wdaje się w dłuższą pogadankę z winowajcami.

Okazuje się, że znają się oni z wybrzeżami Ameryki, że mają własny okręt i walczyli nawet z flotą Filipa. Krajem, wymienionym w liście, okazuje się późniejsza Wirginja, oddalona od Anglji tylko o sześć tygodni drogi przy pomyślnym wietrze. Królowa podaje młodzieńcom myśl, aby spróbowali tam założyć kolonję. Dostaną działa i amunicję. Muszą jednak być gotowi na śmierć. Może sama Elżbieta będzie musiała posłać ich na szubienicę za korsarstwo. Anglja za słaba jeszcze do wielkiej rozgrywki...

Po trzech dniach królowa powraca tą samą drogą do stolicy, więc znów rozmawia z młodzieńcami. Ma pewne skrupuły i niby odwodzi ich od przedsięwzięcia, ale niezupełnie szczerze. Zresztą są gotowi do ofiary, którą Elżbieta ostatecznie przyjmuje, dając każdemu z nich w nagrodę pocałunek. Wyprawiają się do Ameryki — i słuch o nich ginie.

Chłopiec słucha i rozumie polityczne znaczenie opowiadania, nie wydaje jednak sądu o postępku królowej, natomiast dziewczynka nie kryje się z odrazą do niej. Autor ostrożnie wstrzymuje się od zaznaczenia swego stanowiska i umieszcza po noweli wiersz, związany z wątkiem już tylko samą postacią Elżbiety.

Podstarzała królowa, odziana w satynę i złotogłów, chodzi po komnacie „naprzód, wstecz i boczkiem," nie mogąc zdobyć się na odwagę spojrzenia w zwierciadło, „W okrutne zwierciadło, które nigdy nie pokaże kobiety tak urodziwą, tak dobrą i tak młodą. jak poprzednio." Przychodzą duchy. Marja Stuart mówi, że nie odejdzie, póki królowa nie spojrzy „w okrutne zwierciadło, które nigdy już nie odbije kobiety tak cudnej, tak nieszczęśliwej i tak samotnej, jak ona" (t. j. Marja). Na to samo czeka Leicester, który znów oświadcza, że zwierciadło nie odbije nigdy kobiety tak twardej, tak niegodziwej i tak nieprzejednanej, jak Elżbieta. Nawiasem mówiąc, zestawienie musi dziwić. Jak można traktować na równi Marję Stuart i Leicestera, który za wszelką cenę pragnął zasiąść na tronie angielskim, a nadzieje swe gruntował jedynie na pięknej brodzie i na braku skrupułów, posuniętym aż do zbrodni? Trudno oprzeć się, myśli, że Leicester pomieszał się Kiplingowi z Essexem, który, jak Marja Stuart, zginął na szafocie.

Lecz wróćmy do ostatniej zwrotki. Królowa mierzy duchy wzrokiem i odpowiada: „Tak chodziłam w życiu naprzód, wstecz i boczkiem, a przecie jestem córką króla Henryka (co kwestjonowano, ponieważ jej matkę stracono za wiarołomstwo i królową Anglji." A królowej Anglji nie wypada bać się niczego, nawet zwierciadła. Elżbieta staje twarzą w twarz z niem „i ze wszystkiem innem," czego boi się i co ją gnębi. Spostrzega, że uroda jej minęła. Już tej urody nie odbije „okrutne zwierciadło," „które zawsze zdolne jest boleśniej dotknąć kobietę, niż jakikolwiek duch lub mężczyzna."

Może w wierszu niewiele jest poezji, a psychologja jego niegłęboka. Próżność Elżbiety ma dziś znaczenie prawie przysłowiowe. Zakres motywów Kiplinga jest ograniczony. Ale jak świetnie umie on je wyzyskać! Jak efektownie charakteryzuje postacie historyczne! Jak wspaniały jest jego humor i jak zręcznie poeta rozlewa jego światło po scenie tragicznych wypadków historycznych! Jak po mistrzowsku używa w tym celu refrenu! I jak wreszcie przy pomocy tego wiersza pogłębia treść noweli!

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

NA WIDOWNI

Na progu nowego roku. — Życzenia i rozważania. — Przyczyny pesymizmu. — Niedomagania organizmu. — Czyim wynalazkiem i czyją własnością jest państwo. — Organizm jest jednością. — Praca nad wytworzeniem typu polskiego życia.

BYWAJĄ takie wypadki w życiu teki redakcyjnej, że nadesłany przez czcigodnego nawet pisarza artykuł publicystyczny nie nadaje się do druku, a jednak nie podobna odłożyć go do kosza. Gdyby chodziło o porozumienie się z autorem, sprawa byłaby prosta, ale gdy się wie, że artykuł jest odgłosem krążących opinii, niepokojących swym pesymizmem, wtedy rodzi się chęć zrobienia z niego użytku do prostującej pewne pojęcia pogadanki.

Tak się rzecz ma w obecnym wypadku. Znając szlachetne intencje autora, wiem, że nie weźmie mi za złe pogwałcenia praw autorskich przez przytoczenie paru zdań.

Myśl przewodnia jego rozumowania jest taka: Czemu się tak u nas dzieje i na całym świecie, że pomimo przewagi liczebnej obozu narodowego tak szybkie i groźne są postępy robót destrukcyjnych prowadzonych pod szyldem „lewicy", zwanej obecnie „frontem ludowym?"

„Na całym świecie — pisze autor — lewica wykazuje dużo energii i sprężystości, całą siłą pary, nie przebierając w środkach dąży do swoich celów. W porównaniu z nią prawica wygląda wprost na leniwą, ospałą. Czem to się tłumaczy?"

I odpowiada:

„Oto niczem innem, jak tylko tem, że tam działają ludzie z konieczności, z musu, tu zaś — z amatorstwa."

Cały późniejszy wywód, na tem założeniu oparty, nie może dać należytego rozwiązania tak rozległych zagadnień, ponieważ samo założenie, jak widzimy, czysto psychologiczne, jest za wąskie nawet gdybyśmy określenie „amatorstwo" zastąpili trafniejszem pojęciem dobrowolności. Trzeba ustalić podstawę podziału i przeciwstawień. Nieodpartemu musowi psychicznemu przeciwstawić można dobrowolność; jeśli zaś narzuca się pojęcie amatorstwa, to po tamtej stronie trzeba ustawić pojęcie fachowości. I to będzie bodaj bliższe temu zagadnieniu, które bądź co bądź rozważane być musi trybem socjologicznym.

A zagadnienie jest ważne. Jedni tak, drudzy inaczej, odczuwają różnicę dwu obozów, ale pewne jest jedno, że ona istnieje, że tu zachodzi pęknięcie społeczeństwa i to od dołu do góry.

— — — — — — — — — — — — —

Dla uproszczenia kwestii przenieśmy ją z wielkiej skali narodu na małą — dajmy na to rodziny gospodarczej. Jest dom na wsi pełen ludzi z rodziny i służby. Żywa komórka społeczno - gospodarcza, na małą skalę naród, bo są tam takie elementy, jak ród, władztwo, tworzenie wspólnego dobra, przywiązanie do ziemi, do tradycji przywiązanie wzajemne, karność, zdolność do ofiar — jednem słowem życie organiczne niemałej siły biologicznej.

Pewnego dnia — znamy takie wypadki—zdarza się napad bandycki. Wystarczyło trzech ludzi z rewolwerami, aby gospodarzy obezwładnić i ograbić. Potem śledztwo: jak to się stać mogło? Była w domu kilkanaście osób i nie mogło stawić czoła trzem ludziom!

Ano nie mogło. Napastnicy działali precyzyjnie. Zorganizowana szajka nie miała nic innego do roboty, tylko obmyśleć napad, wypatrzyła stosunki domowe i — jak się później pokazało — wśród domowników znalazła adherentów, którzy napad ułatwili.

Jakiż stąd wniosek? Ten, że środkami mechanicznemi łatwo poczynić spustoszenia w życiu organicznem. Oczywiście aktywność ciała zbiorowego, nawet w reakcji, jest powolniejsza, niż akcja jakiegoś spisku. I stronnictwa, organizowane do kierowania procesami ewolucyjnemi w psychice społeczeństwa, z natury swojej nie są bojówkami.

Jest to bardzo dla naszych czasów charakterystyczne, że jedną miarę one stosują do wszystkich zgrupowań społecznych czy to twórczych, czy działających na rozkład tego, co cywilizacja wytwarza. Wszystkie mają być bojówkami. Wszystkie traktowane są rewolucyjnie jako pospolite ruszenie; każde zgrupowanie ma być gotowe do walki fachowej, mechanicznej. Przestano brać w rachubę jedną rzecz, mianowicie tę, że organizmy biopsychiczne — narody — wytworzyły dla obrony swego życia i swej cywilizacji specjalną, żelazną organizację w postaci p a ń s t w a.

Być może na początku każdego z tych światów były jakieś Waregi, które sobie władzę nad ludem uzurpowały, ale życie ludu ich wessało w siebie i rolę odwróciło. Organizacja państwowa dopasowała się do ciała tak, jak zrośnięte są w stworzeniu z ciałem — skóra, pazury, rogi. Duszę państwu daje naród, firmujący daną cywilizację; i tylko w tych warunkach psycho-fizycznych odbywa się życie historyczne. Skoro lubimy stosować do tych rzeczy porównania z architektury, to sobie wyobraźmy budowlę żywą, nad którą ciągle pracuje naród wraz z państwem, aby była jak forteca, organicznie spojona i w jednym stylu, przez obcych nie podkopywana, przedewszystkim obronna.

Nie można pokoleniom dzisiaj żyjącym robić zarzutu niefachowości i niedołęstwa. One przecież z wielkim przemyśleniem, nakładem pracy i ofiar doprowadziły do tego, że rozwalona chata nasza została odbudowana i uposażona w państwowy rynsztunek obrony.

Normalność jest hasłem życia, sankcjonuje je prawo. Odkąd państwo powstało, obrona interesów narodu przed zakusami interesów obcych przedewszystkim do państwa należy.

Skoro są jakieś dziury w dachu i zacieka, skoro obrona zawodzi, to widocznie struktura nie jest wykończona. I tem przedewszystkim trzeba się zająć. Życie upływać nam będzie w ciągłych szarpaninach, w nędzy i zgryzotach, dopóki pracą usilną nie doprowadzimy do unarodowienia państwa *de facto*. Nominalizm nie wystarcza.

— — — — — — — — — — — — — —

W czasach obecnych ostać się mogą w swej pozycji historycznej tylko państwa dobrze zmontowane w psychice narodowej. Typ narodowy państwa, jak widzimy, okazał się najwyższą koncepcją życia politycznego. Zanim dojdzie u nas ta koncepcja do panowania, musimy wiele pracy włożyć w życie wewnętrzne naszego narodu, aby

zapanowała w polskiej świadomości, dzieje tworzącej, jednomyślność, na jaki typ cywilizacji mamy się zdecydować. Pesymizm polski ma jedno ze swych żrodeł w tem rozchwianiu. Dosyć sobie uprzytomnić, że dziesięć lat ostatnich zeszło nam na nieudanych próbach szczepienia na pniu polskim wschodnich koncepcyj państwa, wywołujących zatarg z ideą narodu. Doświadczenia tych lat otworzyły nam oczy na to, ile niebezpieczeństw przedstawia taka niejednolitość w charakterze narodowym, widzieliśmy bowiem, że przez szczeliny w tem rozchwianiu wtargnęły do mozolnie poczętej odbudowy pierwiastki wszelkiego rozkładu.

Nie zakończona więc była robota obozu narodowego, bo cóż innego jest pierwszem zadaniem wielkiego stonnictwa, jak nie to, aby nadać jednolity charakter życiu politycznemu?

— — — — — — — — — — — —

Ludzi, należących do wielkiego stronnictwa, obowiązuje cierpliwość. Nie powinni ciągle martwić się tem, że jakieś frakcje, czy spiski podziemne są rychliwsze, czy ruchliwsze. Praca stronnictw, mających program syntetyczny, obejmujący całokształt życia narodowego, operuje procesami psychicznemi narodu, a te dojrzewają długo. Jest to praca na długą metę, podobna pracy rolnika.

Nie można jednak dojść do państwa narodowego, dobrze zestrojonego z życiem, drogą mechaniczną, trzeba stworzyć takie w narodzie psychiczne warunki, które nie pozwolą na inny ustrój, jak tylko odpowiadający ściśle naturze narodu. Jak widzimy, i tutaj praca obozu narodowego, nie uznająca kompromisów, daje coraz lepsze rezultaty. Zapobiegła krzewieniu się fantazji, że państwo jest wynalazkiem jakiejś grupy, jakiemś trofeum, o które można się droczyć z narodem.

Praca wielkich stronnictw syntetycznych jest powolna, a jednak potrafi ona zaskoczyć ludzi, zajętych zdobywaniem doraźnych zysków swej polityki. Mam na myśli sprawę żydowską. Jak każda na wielką skalę przemiana w życiu wewnętrznem narodu, dojrzewała ona długo. Teraz jednak stała się kamieniem probierczym ideologji życia narodowego. Dopiero w jej świetle -- i to jest wielka zasługa obozu narodowego — zaczęto rozumieć, że walka o niepodległość Polski nie jest jeszcze skończona. Kto konieczność wyzwolenia się z tego jarzma zrozumiał, ten już będzie wiedział, że niepodległość — to nie tylko flaga narodowa na gmachu rządowym, lecz niekrępowana wolność rozwoju bez nieporozumień między państwem a narodem. Nie jest do pomyślenia dzisiaj rząd filosemicki, jako nadbudówka nad narodem, który żydów u siebie nie chce.

— — — — — — — — — — — —

Niema więc pesymizm głębszego uzasadnienia. Nie mają też racji ludzie, głoszący hasło: precz z partiami. Nie wymyślą przecież innej transmisji między życiem wewnętrznem społeczeństwa a państwowem. Bez tego laboratorium myśli politycznej niepodobna wyobrazić sobie prawidłowego funkcjonowania państwa, jako organizacji narodowej.

Zdaje się, że rozumienie tej prostej prawdy przenikać zaczyna do sfer, które do niedawna jeszcze nie liczyły się z nacjonalizmem polskim. Jakże wielkie były koszty tej elementarnej nauki!

ZYGMUNT WASILEWSKI

ZE ŚWIATA SZTUKI

DOROCZNE SALONY

NIERAZ już pisałem o dorocznych Salonach Zachęty i o nader wątpliwej konieczności tego rodzaju imprez. Jako pomysł bowiem Salony dawno już się przeżyły i dziś nie odgrywają tej roli, jaką kiedyś może spełniały. Tu nie o to chodzi, czy Salon tegoroczny jest gorszy, od przeszłorocznego, rzecz w tem — czy wogóle jest potrzebny. Zrozumiał to IPS i chciałby zastąpić tradycyjne Salony czemś innem, narazie jeszcze niezupełnie wiedząc czem; nie odczuła dotąd potrzeby tej zmiany Zachęta.

A życie o nią woła. Salony dawno przestały być terenem współzawodnictwa największych ambicyj twórczych. Dla wielu malarzy starszego pokolenia przepustką na taką wystawę staje się podpis na obrazie. Wobec młodzieży Salony również nie spełniają swej roli wychowawczej, a raczej — jak to ma często miejsce w Zachęcie— demoralizują ją, nagradzaniem dzieł, zasługujących nieraz na potępienie. W tych warunkach i w tym klimacie dobrze, jeśli starsi dadzą jeszcze jeden warjant ustalonego dla siebie od lat *genre'u* plastycznego, młodzi — gdy na marginesie pracy o charakterze zarobkowym, ujawnią od czasu do czasu poważniejsze zainteresowania artystyczne.

Zorganizowany, w przytoczonych powyżej warunkach, ostatni doroczny Salon Zachęty nie zgromadził szeregu prac znakomitych, nie wygląda również beznadziejnie słabo. Znajdziemy tu sporo prac poprawnych, nieraz nawet tę granicę poprawności (w górę) przekraczających. Ale wiadomo że w sztuce najstraszliwszą rzeczą jest właśnie letnia temperatura. Niech się dzieje chwilami nawet gorzej, byle był jakiś ruch, byle było widać jakiejś wysiłki, poszukiwania, próby... Niema rzeczy okropniejszej od takiej właśnie stabilizowanej produkcji na trójkę z plusem. W sztuce 3 oznacza: niedostatecznie.

Aby wprowadzić trochę ruchu w tę senną atmosferę, proponuję na jakiś czas, tytułem próby, zaprzestać urządzania Salonów, a zamiast nich zorganizować doroczne wystawy na temat, tak jak się organizuje konkursy na temat. Byłby w tem nawet pewien moment atrakcyjny dla publiczności: ciekawe porównanie rozmaitych ujęć tej samej treści literackiej. Tematów należałoby dać kilka, pomyślanych w ten sposób, by każdy artysta mógł znaleść coś odpowiedniego dla siebie i swych możliwości. Oto np. trzy tematy: 1) kompozycja figuralna na tle pejzażu, 2) kompozycja na temat pracy, lub sportu, 3) kompozycja religijna (np. zdjęcie z krzyża). Jeśli takie ramy tematologiczne okażą się jeszcze za ciasne dla „wolnej niczem ptak i niczem nieskrępowanej indywidualności artystycznej", to niech ten wolny ptak kładzie się do łóżka i nakrywa kołdrą po uszy, bo wogóle nic z niego nie będzie. (W wolnych chwilach od przygotowań do tego rodzaju wystawy członkowie rzeczywiści Towarzystwa Zachęty mogą nadal (tylko za wysokiem wynagrodzeniem, oczywiście!) portretować panie doktorowe i mecenasowe; nie należy jedynie tych płodów praktycznego ducha wystawiać).

W przytoczonym powyżej pomyśle nie upatruję oczywiście własności jakiegoś cudownego

leku, ale wydaje mi się, że mógłby on, powtarzany parokrotnie, stać się jedną z prób wyjścia z błędnego koła, w jakiem drepcze dzisiejsze t. zw. malarstwo stalugowe. Wiążą się te próby z kryzysem już nie samej koncepcji Salonów, ale sięgają znacznie dalej: pragnę zwrócić uwagą na problematyczną rolę takiego malarstwa w polskiem życiu współczesnem. Mogą się stać łącznikiem w przejściu do malarstwa monumentalnego i do tych wszystkich zadań, jakie życie narodu, w postaci samodzielnego państwa, winno artyście powierzyć.

Dzisiejsze czasy ukuły termin: sztuka użytkowa. Dawniej do XVIII-go wieku mniejwięcej, wszystko było „użytkowe". I obraz też. Malowano obrazy, z góry wiedząc, jakie ma być ich przeznaczenie. Obraz był cząstką w zespole architektonicznym. Do tej zasady powinniśmy wrócić. Nie należy jej tylko tak realizować, jak to próbowali robić niektórzy współcześni, ograniczając rolę obrazu na ścianie do gry barw i rytmiki form. Takie zadanie spełnia z powodzeniem tkanina, kilim, lub dywan. Obraz nie może być tylko kilimem. Na szczęście najwięksi wielbiciele malartwa abstrakcyjnego, bezprzedmiotowego, już to zdaje się zrozumieli. Nową wizję świata zobaczymy w obrazie, nie w kilimie.

— — — — — — — — — — — — —

Powracając do naszego tematu, t. j. do ostatniego Salonu Zachęty, od którego odbiegliśmy tak daleko w ogólnych rozważaniach, chciałbym jeszcze na zakończenie udzielić kilku informacyj. Z Warszawy wystawiło tym razem 92 artystów, z Krakowa — 12, ze Lwowa — 7, z Wilna — 6, z Zakopanego — 7, z Poznania — 5, z Łodzi — 4, z Katowic — 3, z Gdyni — 2, z Paryża — 2, z Bielska — 3, z Nowego Sącza 2, z Sosnowca — 2; po jednym: z Bydgoszczy, Radomia, Gdańska, Włoch, Poczajowa, Wiednia, Góry Kalwarii, Bronowic, Daszowa, Janowicz, Tarnopola.

Największy na wystawie obraz (4×2 metry) jest dziełem Aleksandra Jakimczuka z Poczajowa i nosi tytuł: „Dożynki". Malowany, jak na dziś, manierą zbyt staroświecką, wykazuje jednak spore zalety w zakresie umiejętności malarskich i rysunkowych i został rozwiązany naogół zadawalająco.

Pozatem pragnąłbym wymienić — uważam to za jeden z obowiązków krytyka — przedewszystkiem młodych artystów, których nazwiska nie utrwaliły się jeszcze zbyt mocno w pamięci ogółu i dotąd mniej są od innych popularne.

A więc T. Betley ze zrozumieniem malarskiem wykonał pejzaż p. t. „Rzeczka", a M. Gleb-Kratochwil pokazał scenę rodzajową, malowalną z brawurą i zacięciem. Krajobraz F. Haydera zbliżony jest w typie do prac jakie widzimy na wystawie kapistów i pryzmatystów: W każdym razie to płótno z prawdziwego zdarzenia.

Bł. Iwanowski porzucił wnętrza dla pejzażu. Rezultat tej zamiany wypadł dodatnio.

Dużo wyrazu posiada Kompozycja St. Pękalskiego, p. t.: „Złożenie do grobu". W technice i w kolorze — poprawa.

Tak zwane „zalety pendzla" wykazuje „Biały szal" H. Pachniewskiej. Portret Kokoszki ma dobrze rysowaną głowę i jest b. podobny.

W sedno utrafił J. Wodyński w swem dobrze rozwiązanem wnętrzu kościoła w Dębnie. W malarskiej wizji nie odbiegł zbyt daleko od dokumentu, a jednocześnie nie „zasuszył" obrazu.

Żywością traktowania bryły i wyczuciem rzeźbiarskim wyróżnia się „Głowa brata", M. Nalewajskiego.

Świetny rzeźbiarz Karny dał tym razem rzetelne studjum głowy chłopa z kresów.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

SPÓR O MUZYKĘ NARODOWĄ

CORAZ częściej na łamach prasy dyskutuje się o sprawach kultury, twórczości, sztuki narodowej. Jest to znak czasu i tryumf nasz, którzyśmy nie inne kryteria, ale właśnie narodowe uznawali zawsze i przedewszystkiem. „Aktualność problematyki rasowo-narodowej w dzisiejszej Europie Środkowej—pisze w zdecydowanie marksistowskich lwowskich „Sygnałach". Zofia Lissa—każe nawet „chłodnym" badaczom zwrócić uwagę na tenże punkt widzenia..." Czy tylko w Europie Środkowej? Obóz międzynarodówki opartej o filozofię materializmu dziejowego nie może sobie wyobrazić nacjonalizmów niezwiązanych z sobą jednym węzłem również *sui generis* wprawdzie, ale międzynarodówki. Przykładanie do wszelkich zjawisk związanych ze światopoglądem idealistycznym o tle narodowem odpowiedzi zaczerpniętych z przemyśleń teorii hitlerowsko-rasistowskiej wprowadza tylko w błąd; może nawet i ułatwić dyskusję, ale ją skieruje przedtem na fałszywe tory. Stąd i wnioski będą fałszywe.

P. Zofia Lissa pisząc duży artykuł „O stylach narodowych w muzyce", trakćowała go już jako głos dyskutujący z artykułem d-ra Pulikowskiego, zamieszczonym w „Życiu Sztuki", udawadniającym słuszną tezę, iż style narodowe stanowią rdzeń historii muzyki, oraz z artykułem d-ra Łobaczewskiej, zamieszczonym w „Pionie", zgadzającym się połowicznie na pogląd sprecyzowany przez d-ra Pulikowskiego.

Zgadzam się całkowicie z „Sygnałami", iż powszechnie już zrezygnowano z twierdzenia o *splendid isolation* nauki, a również i sztuki od przejawów polityczno-społecznych. Zgadzam się również—mało—sprawia mi satysfakcję zdanie poniższe:

> „...różnice stylistyczne płynące z odmiennego surowca muzycznego, nie odgrywają znaczniejszej roli w rozwoju muzyki. Wszak cała muzyka europejska od wieków operuje tego samego typu materiałem dźwiękowym, a właśnie w jej zakresie różne typy muzyki tworzą odmienne style narodowe".

Tylko... że słowa te są już niekonsekwencją w stosunku do założenia autorki artykułu. Ale autorka radzi sobie w sposób dość sprytny, bo nomenklaturą. Identyfikuje n a r ó d z l u d e m mówiąc, iż „.. tylko w pewnego typu muzyce, a mianowicie w muzyce l u d o w e j przejawiają się czyste cechy stylów narodowych". „Muzyka ludowa „...odcięta od wpływów innych grup etnicznych..." Czy rzeczywiście odcięta? Sąd naiwny, jeśli nie powierzchowny, albo nawet prymitywny.

Idźmy dalej. P. Zofia Lissa posługując się obowiązującym dla siebie słownikiem i obowiązującemi pojęciami, dzieli społeczeństwo narodowe na dwie części: wieś i miasto. Sztuka elity duchowej jest sztuką „...indywidualnie powstającą, przeżywaną już nie w związku bezpośrednim ze sprawami życia codziennego, ale w wyodrębnionej od codzienności p o s t a w i e e s t e t y c z n e j". Otóż po pierwsze zagubiono tu zjawisko sztuki dworskiej, po drugie zbyt w rozumowaniu ciąży sugestia spraw i stosunków wieku XIX-go (nic dziwnego, skoro się do wszystkiego przykłada miarę wytworzoną właśnie w owym czasie), po trzecie indywidualność owej sztuki miejskiej—przyjmijmy już poglądy autor-

ki, oczywiście przez chwilę—jest mocno opatrzona znamieniem epoki, po czwarte, czyż nawet twórca tak indywidualny, że aż w swym wyjątku genialny, nie jest tylko przejawem swego narodu? W Polsce Chopin, Szymanowski, ten ostatni nawet w okresie przed mazurkami. Ale właśnie Chopinowi autorka artykułu nie przepuszcza i używa go dla poparcia swoich wywodów. Wiadomo, ten „najbardziej reprezentatywny kompozytor narodowej muzyki polskiej jest po ojcu Francuzem". Przykładów zresztą podobnych cała poprostu masa: Willaert, założyciel szkoły weneckiej był w gruncie rzeczy Niderlandczykiem, Francuzi: Lully był Włochem, Gluck — Austriakiem, Niemiec Haydn z pochodzenia Kroatem itd. Jesteśmy niemal przybici do muru dowodami, tak czarno na białem... W podświadomości naszej wszakże tkwi jakieś „a jednak". Owa tlejąca się inna racja, okazuje się całą, pełną racją, bo jedynie dla tych, którzy posiadają materialistyczny pogląd na życie argumenty pani Zofii Lissy wystarczają. Dla nas są one poprostu ubogie. Tu tkwi trudność dyskutowania z ludźmi stojącymi na tak różnych jak my płaszczyznach. To nawet nie są dwa aspekty. Coś więcej—dwa światy.

A więc, jakież są moje kryteria?—słyszę już zapytania Jakie? Na pytanie odpowiem wskazując szereg moich artykułów na przestrzeni ostatnich lat paru, zamieszczonych na łamach „Myśli Narodowej".

„Trudno zatem—czytamy— mówić o czystym stylu narodowym w odniesieniu do muzyki artystycznej. Jest ona od wieków wytworem i przedmiotem estetycznego doznania klas posiadających, jest sztuką ze wszystkich najbardziej kosmopolityczną, przemwiającą językiem wszystkim narodom zrozumiałym, a odgraniczającą się w poczuciu swej „artystyczności" od muzyki mas ludowych, wulgarnej, prymitywnej, nieartystycznej. Nie można zaprzeczyć, że i muzyka artystyczna różnych krajów posiada swój odrębny charakter".

Oczywiście jest „ale..."

„Ale charakter ten występuje wyraźnie i silnie tylko wtedy, gdy muzyka artystyczna sięga do skarbnicy właściwej muzyki narodowej, do muzyki ludowej. Okres romantyzmu odkrywa właśnie te złoża prawdziwej czysto narodowej sztuki ludowej i żywiąc się jej sokami, na długo, bo po dziś dzień, odmładza artystyczną muzykę poszczególnych krajów Europy, nadając każdej z nich jej odrębne piętno".

Otóż tak wcale nie jest. Miałem możność ostatnio dokonać porównania w jednej z dziedzin muzyki najbardziej chyba w stylu, manierze międzynarodowej — muzyki tanecznej. Czujemy narzucający się wszystkim smak mody, mody nieledwie, że t. zw. sezonu, kategorycznie obowiązującej. A jednak, jakże jazz amerykański różni się od francuskiego, ten od niemieckiego itd.! Mam wrażenie, że z punktu widzenia autorki nie popełniam błędu; pod nazwą „muzyki artystycznej" rozumiała ona przecież muzykę mieszczańską, „klas posiadających" w przeciwieństwie do ludowej. I dlatego muzyka dancingu, tak w swym duchu mieszczańska... bo ta jej forma zwulgaryzowana...—przysłuchajmy się czasami, jak modną piosenkę śpiewa oddział żołnierzy złożony z chłopów. To przecież jednak co innego. I tu dochodzimy do sedna, do punktu, o którym p. Zofia Lissa zapomniała. Wytwór elity nie staje się wyłączną własnością jej jako klasy. „Idzie w lud", jakbyśmy powiedzieli używając wyrażeń z przed lat kilkudziesięciu. Niezawsze w formie cyzelowanej; po drodze narasta, grubieje, staje się bardziej kanciasty, Kiedyś znowu powróci i zapłodni z kolei elitę intelektualną. Tworzy się tem samem cudowny stop.

Stop nie inny, ale właśnie narodowy. Może dlatego dla niektórych trudny do zrozumienia, bo... cudowny.

Jeszcze nieco dyskusji.

„Sztuka elity społeczno-duchowej służy już tylko celom czysto estetycznym, pewnej postawie psychicznej, która w ciągu wiekowej sublimacji wyłoniła się z tamtego, utylitarnego nastawienia. Historycznie pierwotną kategorją wartości— co jest podstawowem założeniem socjologii sztuki — była celowość wytworu (czy był nim dzban, czy pieśń, czy strój człowieka), a z niej wyłoniła się dopiero kategorja piękna, kategorja estetyczna."

„Ta właśnie różnica nastawień tworzy przepaść, oddzielającą dziś jeszcze muzykę ludową od artystycznej. Odmienne skierowanie społeczne, mające swe źródło w pochodzeniu z różnych stadjów rozwojowych ludzkości, sprawia, że są one sobie obce".

Ów dzban, czy pieśń, czy strój jest równie w intencji utylitarny, czyli ma tę samą pierwotną kategorię, co i współczesny dom. Ale ornament na owym dzbanie należy znowu do tych kategorii piękna, co i linie, proporcje współczesnego domu.

Bronię ludu. Nie jest on tak barbarzyński, jak sobie to wyobrażają epatujący siebie i innych mieszczuchy.

Wniosek wyprowadzony w całości: wiem, że nie przekonałem, że przy końcu wymiany zdań, nie znaleźliśmy nic wspólnego. To—walka. Chociażby na takim tylko odcinku.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. ZYGMUNT CHRZANOWSKI

Po PAROLETNIEJ i ciężkiej chorobie, zmarł w Warszawie 30 grudnia ub. roku, przeżywszy 64 lata, ś. p. Zygmunt Chrzanowski—człowiek i działacz społeczny niezwykłej miary oraz zasługi.

Zmarły należał do znanej oddawna na Podlasiu rodziny ziemiańskiej, która może się pochlubić nie jednym wybitnym członkiem (że wspomnimy tu o starszym bracie zmarłego prof. Ignacym Chrzanowskim, znakomitym historyku literatury), a na dobro swoje zapisać nie jeden czyn obywatelski i narodową zasługę.

Ś. p. Zygmunt Chrzanowski zaznaczył się głównie na na polu pracy społecznej, jako inicjator, założyciel i długoletni kierownik wielu instytucyj rolniczo-handlowych, mających na względzie wyzwolenie naszego życia gospodarczego z pod wpływów obcych (żydowskich, niemieckich i t. p. i oparcia go na zdrowych podstawach samopomocy.

Z pomiędzy tego rodzaju instytucyj, zawdzięczających byt swój zmarłemu, dość tu wymienić choćby tylko Warszawski Syndykat Rolniczy, który dzięki jego ofiarnej pracy już przed wielką wojną przekształcił się w ogromne przedsiębiorstwo, obejmujące placówkami swojemi niemal całą Kongresówkę, a oddające rolnikowi polskiemu wydatne usługi.

A ileż innych instytucyj, służących gospodarczym interesom kraju, (jak np. „Kooperacja Rolna", „Giełda zbożowo-warszawska" i t. p.) powołał ś. p. Zygmunt Chrzanowski do życia.

Ale na tej drodze jego fachowej i obywatelskiej działalności oraz usiłowań stawały mu nieraz w poprzek, już nietylko siły fatalne, nieprzezwyciężone, jak np. powszechny kryzys gospodarczy, lecz często i nieprzychychylność ludzka i słabe przygotowanie własnego społeczeństwa do walki o niezależność gospodarczą.

Tak więc powoli, w ciężkich latach kryzysu ekonomicznego, rozstrajało się, niszczało dzieło woli oraz inteligencji zmarłego, aż w końcu pozostała po nim ruina. Jak to odbiło się na siłach ducha oraz zdrowiu fizycznem ś. p. Zygmunta, wiedzą ci, co przeżywali z nim jego zawód życiowy...

Kreśląc krótkie wspomnienie o zmarłym, niepodobna pominąć jego wysiłków, już nie jako działacza społecznego, lecz jako Polaka, przejętego gorąco losem własnego narodu i pracującego dla jego lepszej przyszłości (zmarły był członkiem Ligi Narodowej).

Podczas okupacji niemieckiej kraju odegrał ś. p. Z. Chrzanowski wybitną rolę polityczną, jako kierownik Se-

kretariatu Koła Międzypartyjnego, które przeciwstawiło się stanowczo zakusom politycznym okupantów i opinię społeczeństwa polskiego orientowało w należytym kierunku.

Na schyłku wojny wziął zmarły udział w tworzeniu gabinetu I. Świerzyńskiego, w charakterze ministra spraw wewnętrznych.

Ponad wszelkie jednak działania społeczne oraz zasługi obywatelskie, gdy mowa o ś. p. Zygmuncie Chrzanowskim, staje najwyżej jego wartość czysto ludzka: prawość charakteru, szlachetność pobudek, dobroć i szczerość uczuć, życzliwych, przyjaznych, któremi związał się z innymi — nie na jedną chwilę i nietylko na szczęsne losy.

I pod tym względem był zmarły jednostką niezwykłą, której zgon budzić będzie w duszach ludzkich szczery żal i serdeczne wspomnienie.

W. J.

MIGUEL DE UNAMUNO

W CIĄGU miesiąca dwa kraje południowo - romańskie straciły dwuch znakomitych literatów. We Włoszech umarł Luigi Pirandello, w Hiszpanii nestor narodowej literatury Miguel de Unamuno.

Baskijczyk (urodzony w 1864 r.), należał on do owych myślicieli schyłku wieku, którzy wywarli duży wpływ na młodzież. Zajmował się też młodzieżą przez całe życie jako profesor filologji greckiej na uniwersytecie w Salamance, gdzie rozpoczynał swe studia i gdzie później przez wiele lat był rektorem. Obdarzony licznymi talentami erudyta, krytyk poeta i filozof zostawił po sobie wiele dzieł ze wszystkich tych zakresów. Do najlepszych należą *essaye* zebrane w 7-u tomach, a z tych najbardziej znane „*Vida de don Quijote y Sancho* (1906), *Andanzas y visiones españolas* (1902) *i Del sentiment tragico de la vida en los hombres y en los pueblos*“ (1913).

Powieści jego, z których jedną „Niebla” —przełożył na język polski Eoward Boyé (wyd. „Rój“, Warszawa 1928), nie należą do najwybitniejszych jego utworów. Zato zaliczyć do nich wypadnie najskromniejsze może dzieło „*De mi pais*“ (1903), w którym daje opis zwyczajów i życia swej rodzinnej prowincji baskijskiej, przepełniony uczuciem i poezją.

Unamuno należał do tych ludzi, którzy działali osobistym wpływem więcej niż słowem drukowanem. Pochodząc z pokolenia liberalnego, przy końcu życia doznał wielu bólów, przeżywszy swą epokę. Przeciwstawiwszy się ostro rządowi Primo de Rivery został pozbawiony swego urzędu rektorskiego i skazany na banicję. Schroniwszy się do Paryża napisał tam książkę „*Romancero del exil*“. Po obaleniu dyktatury triumfalnie powrócił na swą katedrę i na urząd rektorski, aby wkrótce nowych doznać zawodów na tle rządów komunistycznych w Hiszpanii. Po wybuchu powstania stanął natychmiast po jego stronię, ale entuzjazm jego mocno osłabł, gdy ojczyzna jego stała się terenem wojny niemiecko-bolszewickiej. Umarł zniechęcony do życia, ale pozostawił swą niemałą kartę w historii kultury Hiszpanii, jako jeden z najwybitniejszych umysłów współczesnej Europy.

M.

RUCH WYDAWNICZY

Wydawnictwo „Postaci świętych” zainicjowane przez księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu, dobiega setki tomów. Trzecia z kolei serja poszła właśnie w świat. Pisząc kiedyś o pierwszej serii, podkreślaliśmy jej wartość literacką i artystyczną; teraz winniśmy nietylko powtórzyć poprzednie wyrazy uznania, ale nawet je pomnożyć. Tyczy się to przedewszystkiem zewnętrznej szaty książeczek, która przedstawia się coraz gustowniej.

Winiety Boratyńskiego niezbyt nas zachwycają, natomiast obrazki malowane przez Lelę Pawlikowską są wprost prześliczne—zarówno w kolorze, jak w pomyśle ogólnym, jak wreszcie w wykonaniu poszczególnych postaci. Najprzedniejsza to dziś u nas niewątpliwie malarka tematów religijnych i godna szerokiej sławy, zwłaszcza, że na obrazy religijne jest dziś w naszych kościołach i domach katolickich takie zapotrzebowanie!

Przez wrodzone Polakom lenistwo czynniki powołane i zainteresowane nie starały się dawać na tem polu zatrudnienia polskim artystom. Robiło się dla naszych kościołów zamówienia z Paryża i Wiednia, co zaś gorsza, z fabryk tyrolskich, które zbanalizowały sztukę i szczepiły zły gust artystyczny w polskim ludzie. Ostatnimi czasy do tej roboty zaczęli przykładać rękę i żydzi. Dość wspomnieć, że Izaak Rubin, właściciel firmy Gloria przy ul. Floriańskiej w Krakowie, zasypywał polską klientelę tandetnymi obrazami Matki Boskiej.

Takiemu stanowi rzeczy czas już kres położyć. Trzeba dać pracę Polakom i prawdziwym artystom, wyrugować tandetę, poprawić smak artystyczny nabożnego ludu, a nadewszystko zapobiec profanacji przedmiotów kultu chrześcijańskiego przez żywioł niechętny chrześcijaństwu.

W biografii ks. Skargi mówi Birkowski, że wielki kaznodzieja raz wrzucił w ogień obraz, który mu się wydał nieestetycznym: nie mógł znieść, by oblicze Chrystusa było licho wyrażone pędzlem. Przy rocznicy Skargowskiej warto i ten fakt sobie przypomnieć.

Inicjatywę księgarni św. Wojciecha, zmierzającą do podniesienia polskiego malarstwa religijnego powitać należy z uznaniem. (J. B.)

OD WYDAWNICTWA

Składając dzięki przyjaciołom, którzy z okazji Nowego Roku złożyli nam życzenia w postaci prenumeraty, upraszamy Ich, aby, dopełniając miary swej życzliwości dla pisma, nadsyłali nam adresy znajomych, którzy „Myśli Narodowej“ nie znają, a mogliby ją abonować. Według tych adresów roześlemy numery okazowe.

DYSKUSJE

SZOPKA POLITYCZNA „ROBOTNIKA“

WŁAŚCIWIE to ją mamy codziennie. Ale szczególnie nam się rewia nazwisk i publicystycznych popisów centralnego organu P.P.S.'u kojarzy z nazwą szopki, gdy weźmiemy do ręki numer gwiazdkowy. Aż wieje zeń tradycją! Nawet polską tradycją. Artykuł wstępny pióra starego, dobrego szlachcica Niedziałkowskiego (o ile się nie mylę, herbu Rawicz) jest przesycony tkliwością najserdeczniejszą, jeśli już poprostu nie jakąś łzawą rzewnością wspomnień na temat „Za naszą i waszą“. Jak ze starej, inkrustowanej szkatułki (w nowelach stare szkatułki są zawsze inkrustowane) wyjmuje autor pisane wyblakłym już atramentem nazwiska i fakty: ksiądz Hugo Kołłątaj i jego „Kuźnica“. „Sankiulot” generał Dąbrowski, czar „jakobina” księcia Sułkowskiego i czar innego księcia, Poniatowskiego i głos Traugutta, i głos hrabiego Hauke-Bosaka. Zapomniał o innym Dąbrowskim, z paryskiej komuny, a to zapewne dlatego, że już nie bezpośrednio z Polską związany... Wszystko wcale nawet przyjemne. Czytałem, jak kiedyś książki Stanisława Wasylewskiego i Adama Czartkowskiego: „Gawędy o starym obyczaju”. Że się też w jednym numerze mógł z tem wszystkiem pomieścić pogromca szlachetczyzny Jan Nepomucen Miller!

Ale my tu gadu, gadu a za kulisami kukły już się niecierpliwią. Że to szopka „Robotnika”, więc nie jeden, ale trzech żydków, i nie obitych w końcu przez chłopa, jak każe ludowa pastorałka. Winterok, Próchnik i Tuwim. Tuwim na chwilę opuścił ultraburżuazyjną atmosferę, w której stale

przebywa i przybrał dla odmiany pozę laureata czerwonej Łodzi. Dwa fragmenty poematu „Bal w Operze".

„Na afiszu—Archikrator
Więc na schodach marmurowych
Leży chodnik purpurowy,
Ustawiono oleandry,
Ochrypł szef-organizator,
Wyfraczony krępy mandryl,
Klamki, zamki lśnią na glanc,
W blasku las ułańskich lanc,
Szef policji pierś wysadza..."

Dalej:

„Zajeżdżają futra, fraki,
Lśniące laki, szapoklaki,
Uwijają się tajniaki
W paltocikach Burburry."

„Proszę pana"—mówił do mnie przed paru dniami jeden z profesorów wyższych uczelni, wcale nie nacjonalista, wprost, ale to wprost przeciwnie—wracam właśnie z Paryża. Jaki snobizm w dniu otwarcia izby! Jakie linie limuzyn! Jak skrojone ubrania! Może jedyny Thorez... ale i on zapewne z czasem..." Przyznam się. że nie chciałbym. Wolę dużą klasę przeciwnika.

„Brawo! brawo! brawo! brawo!
Dżadz—zamiecią, dym—kurzawą,
Sześć tysięcy w jedno ciało
Zrosło się i oszalało,
Hucznie, tłusto, płciowo, krwawo
Brawo! brawo! brawo! brawo!
Płciowo, hucznie, tłusto, biało,
Mało! mało! mało! mało!"

Dajmy się ponieść rytmowi: „A sam Blum prowadzi tan, prowadzi tan". I muzyka Gounoda (to dla poczciwca Niedziałkowskiego, bo z epoki jego ideałów).

Adam Ciołkosz występuje w roli tradycyjnej śmierci. Cała kolumna z nagłówkiem: „Faszyzmu siła i słabość".

Ustęp o uniwersalizmie kończy się niemal upiornem skandowaniem:

„Teraz widzimy w całej wyrazistości, czem jest uniwersalizm i totalizm faszyzmu. Jest to uniwersalizm zimna, głodu i wojny. Uniwersalizm bestii apokaliptycznych."

Straszne. Prawda? Dla socjalizmu widmo narodowej rewolucji jest synonimem wizji końca świata. I słusznie.

Ale najbardziej udany monolog z całego przedstawienia to artykuł Czapińskiego: „Kultura faszyzmu". Znowu wiew Apokalipsy. Trzy tylko słowa w podtytule, ale jakie!—„Wojna, Totalizm, Okrucieństwo". Publiczność bawi się doskonale i bije oklaski. Komizm recytowanego „kawałka" polega na ustawicznem mieszaniu faszyzmu z komunizmem. Przykład pierwszy:

„Pragnąc porwać za sobą te warstwy „średnie" faszyzm musi dostarczyć im odpowiednio przyrządzonej „ideologii", a więc wkłada maskę „antykapitalistyczną", grzmiąc (zwłaszcza w początkach swego rozwoju) przeciwko kapitałowi finansowemu i obiecując różne cuda, np. zniesienie niewolnictwa procentowego" w Niemczech i t. p. Później, gdy faszyzm umocni się, „zapomina" z reguły o swych obiecankach; wówczas czysto kapitalistyczny charakter faszyzmu występuje z zupełną oczywistością".

No zgadnijcie!—Socjalizm to, czy komunizm?—Dobrze dobrze, odgadliście, tak jest, — socjalizm. Sparafrazujmy: „Później, gdy socjalizm umocni się „zapomina" z reguły o swych obiecankach". Tak akurat, kubek w kubek było za rządów socjalistycznych w Anglii, Belgii, Szwecji, Francji.

Kukła Ciołkosza mówiła przed chwilą: „Imperializm osią myślową". Kukła Czapińskiego mówi: „Ale przedewszystkiem chodzi o wojnę, o wyniszczenie całych narodów".

Jako nacjonalista nie wyrzekam się ani imperializmu ani militaryzmu, przeciwnie imperializm i militaryzm są częściami mego myślenia i odczuwania. Tylko... czy to wyłącznie cecha faszystowska? Widziałeś pan, panie Kazimierzu Czapiński kiedy fotografie z rewii na Placu Czerwonym w Moskwie? No to zobacz pan. Mówię panu—świetna armia! Twierdzisz pan, że dla celów obrony? A akcja na Dalekim Wschodzie w roku 1927-ym, potem w 32-im, potem w 36-ym, teraz, w dwuch ostatnich? Kto instruował? Kto prowokował? Kto zaczepiał?

„II-ga cecha—„totalizm". Totalizm — to „zglajchszaltowanie", ujednolicenie wszystkich objawów kulturalnych, wyrównanie ich ściśle pod grzebyk ideoloii faszystowskiej. Wszystko jest regulowane z góry, przez „Izbę Kultury", przez „gminy kultury", ministerium propagandy i t. p. Żadna niezależna, indywidualna myśl twórcza nie może się rozwinąć. Goebels ostatnio zakazał nawet krytyki artystycznej wogóle. Gazeta, książka, nauka w uczelniach, radio, kino, teatr—to tylko megafon dla wciąż tej samej ideologii hitlerowskiej. To koniec twórczości. To zamknięcie procesu pogłębiania kultury. To ofiary, inkwizycja i więzienie—zamiast kultury".

Ten słownik z okresu „postępowych" walk czasu Waldeck-Rousseau i Combesa! Chyba już wiesz panie Czapiński (małe dziecko to wie), że formę państwa totalnego zawdzięczamy komunizmowi. Gdzie utworzono pierwszą monopartię? Gdzie miano odwagę targnąć się po raz pierwszy na świętą demokrację?

„III-cie—okrucieństwo. Wynika z potrzeb, z psychiki wzmożonej walki i zemsty klasowej ze strony klas posiadających. Dochodzi się do rzeczy strasznych, nieprawdopodobnych, przygnębiających. Zamiast humanizmu — obóz koncentracyjny i tortury."

O mój ty panie Kazimierzu Czapiński! A o czerezwyczajce pan słyszał? A o wyspach Sołowieckich? Są takie? A o mordach w Hiszpanii? Nic? Tylko o „hitlerii"? Tylko o jedynynym Mateottim we Włoszech i o „kaźni" von Ossietzkiego obdarowanego obecnie nagrodą ufundowaną przez jednego z największych kapitalistów świata Nobla? („...ich jest nafta!")

Z tym kapitalizmem to także sto pociech!

„Cele faszyzmu są różne. Głównym, istotnym celem, jest naturalnie ratowanie kapitalizmu. W związku z tem ten główny cel można podzielić na następujące cząstkowe: 1) złamanie walki klasowej proletariatu przez unicestwienie demokracji, zaprowadzenie ustroju korporacyjnego etc.; 2) próba przeprowadzenia planowej gospodarki w obrębie kapitalizmu; 3) wykorzystanie finansowych zasobów państwa celem ratowania przedsiębiorstw kapitalistycznych; 4) wojna, jako środek zdobywania nowych rynków, źródeł surowców, inkasowania zysków z produkcji wojennej itd.".

Poczem, po wszystkiem konkluzja:

„Takie jest „kulturalne" dzieło faszyzmu. Faszyzm niszczy największe wartości ducha ludzkiego, niszczy podstawy prawdziwej kultury, miażdży jednostkę ludzką".

Po pierwsze ustrój totalny komunistyczny, czerwony tem się różni od ustroju totalnego „faszystowskiego", jak pan to, panie Czapiński nazywa, że w czerwonym ustroju jednostka nie istnieje, jest unicestwiona, podczas gdy ustroje narodowe mocniej wprawdzie podporządkowują jednostkę życiu społecznemu, bronią jej jednak, stoją na straży jej istnienia, jako jednej z wartości cywilizacyjnych.

Wracam jednak do wyżej zacytowanego, perfidnego w każdym calu planu: „Głównym, istotnym celem faszyzmu jest naturalnie (to „naturalnie" jest pyszne! Brawo kukło!—publiczność aż pęka ze śmiechu) ratowanie kapitalizmu". To nic, że Mussolini w ostatnich czasach dokonał doniosłej reformy unarodowienia banku emisyjnego, o czem gdzieindziej pod rządami socjalistycznemi jakoś głucho, to nic, że w kolejności reform przystępuje obecnie hitleryzm i do reform gospodarczych na wielką skalę. Niechże pan, panie Czapiński poczyta czasami prasę hitlerowską. Ale pan nic nie widzi, nic nie słyszy, nic nie czyta? Może pan tak tylko udaje? Trochę szacunku dla naszych czytelników, których podobno przybywa. Czy rzeczywiście socjaliści są tacy naiwni? Są. I to jest nawet ich wdzięk... Pisują sobie takie artykuły, jak te choćby, które wymieniłem. Jeden za drugim. Woda. Woda. Woda na komunistyczny młyn. Pamiętajcie, że na kim się zmiele, na...

...Roku 1917-go w Petersburgu was ordynarnie „wykiwali", a roku 1936-go w Madrycie poprostu powystrzelali.

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

CO Z POLSKĄ ZROBIĆ?

Z NOWYM ROKIEM ożywiła się dyskusja na temat, co też zrobić z tą Polską, bo tak dalej iść nie może. Początek dał płk. B. Miedziński, stwierdzając w „Gazecie Polskiej", że obóz rządowy i opozycja jest w stanie całkowitej dekompozycji, co później przetłumaczono na polskie „rozkładu", i że trzeba znaleźć nowe formy bytowania politycznego. P. B. Miedziński, zajmujący w obozie rządzącym stanowisko centralne ma niewątpliwie dostateczne dane do sądzenia o stanie tego obozu, zdanie jego więc warte jest zanotowania, chociażby nie stanowiło niespodzianki.

Wślad za „Gazetą Polską" wystąpił „Kurjer Poranny" z artykułem p. Czarnockiego, proponującym już konkretnie utworzenie bloku centrowolewicowego z następującym uzasadnieniem:

„Ostatnie uchwały rad partyjnych zarówno PPS, jak i Stronnictwa Ludowego w sprawie stosunku do komunizmu całkowicie wyjaśniły sytuację tzw. Frontu Ludowego, Poza tym uchwały tychże stronnictw w sprawie wzmożenia obronności państwa i możliwość rozszerzenia tych uchwał w kierunku uznania autorytetu Naczelnego Wodza nie tylko w zakresie obronności kraju ale i w dziedzinach związanych ze wznowieniem tej obronności — wyprostowuje całkowicie sytuację po lewej stronie społeczeństwa i stworzy platformę na której staje się możliwe szerokie porozumienie idące w prawym kierunku poprzez radykalno-społeczne i demokratyczne grupy dawnego Bloku aż po odłamy organizacji chrześcijańsko-demokratycznych, które współpracę nawet z socjalistami mają już w swych tradycjach partyjnych..."

Na ten głos odezwał się natychmiast socjalistyczny „Robotnik", co jest tym zrozumialsze, że p. J. Czarnocki, to dawny współpracownik „Robotnika", przedzieżgnięty później w sanatora. W „Robotniku" p. M. Niedziałkowski łatwo doszedł do zgody z dawnym swym towarzyszem, nazywa wystąpienie „Kurjera Por." dużym krokiem naprzód i pośpiesza uspokoić sfery woiskowe, że socjaliści nie są wcale tak czarni, jak ich malują.

„Korzystam ze sposobności — czytamy tam — by rozwiać jedno nieporozumienie, tkwiące jeszcze w psychologji niektórych środowisk, między innemi — i środowisk wojskowych. Postulat nowych wyborów i pięcioprzymiotnikowego prawa głosowania bywa tam niekiedy pojmowany, jako hasło „powrotu" do sytuacji z przed maja 1926 r. „Gry" parlamentarne; „gry" partyjne; kombinacje zakulisowe: obalanie rządów w wyniku takich kombinacji itd. itp.

„A demokracja — to nie jest wcale łatwość obalania rządów"; demokracja — to problem kontroli. Rządy „autorytatywne" są negacją kontroli; stąd — nieskończone dramaty i nieskończone... nadużycia.

„My chcemy by w wyniku powszechnego głosowania władzę w Państwie objął rząd przebudowy społecznej. Rząd, który bierze na siebie kierownictwo przebudowy, kierownictwo gospodarką planową, musi być rządem nie tylko silnym poprostu, ale bardzo silnym. To dla nas aksjomat nie podlegający dyskusji.

„Nie ma więc mowy o „powrocie" do gabinetów „pozaparlamentarnych", do drobnych utarczek. Chcemy mieć: 1) Rząd, wyrażający masy i wsparty o wolę mas; 2) Rząd sterujący planowo i zdecydowanie ku nowemu ustrojowi; 3) rząd podlegający kontroli — kontroli prawdziwej, sumiennej, odważnej i obcej „nastawieniom klikowym".

Tak oto sobie ugwarzają i dochodzą do zgody na temat co zrobić z Polską dwie potencje „Kurier Poranny" reprezentujący nie wiadomo kogo i nie łudzący się chyba co do tego, żeby miał jakieś „poparcie mas" i socjalistyczny „Robotnik", który też tego poparcia nie ma. Wystarczy przypomnieć fakt, że w czasach, kiedy w Polsce odbywały się jeszcze uczciwie wybory, klub posłów socjalistycznych w sejmie, wybranych na podstawie pięcioprzymiotnikowego głosowania, liczył zaledwie 41 posłów na ogólną liczbę 444, a więc nawet nie 10%. Gdzież więc te masy? Głosowały na inne stronnictwa, nie na socjalistów.

Ta niemożność przeprowadzenia swego programu drogą legalną, opartą na woli mas, była niewątpliwie jedną z przyczyn, dla których socjaliści wraz z „Robotnikiem" tak ochoczo przyłączyli się do zamachu majowego, kierowanego przez dawnego towarzysza. „Robotnik", jak to wszyscy pamiętamy, wymyślił nawet wtedy specjalną koncepcję polityczną na temat „demokracji wojskowej", która po zamachu doszła do władzy. Sparzył się potem mocno na tej „demokracji", nieboszczyk Ignacy Daszyński mógłby coś o tym powiedzieć.

Dziś socjaliści, o ile dochodzą gdzie do głosu u nas, to tylko przy poparciu komunistów i żydów, jak tego mieliśmy przykład w robotniczym mieście Łodzi, gdzie uzyskali mandaty dzięki temu, że głosowały na nich zarówno komuna, jak i burżuazja żydowska.

Wybory nie dadzą większości socjalistycznej, poparcia mas dla przebudowy społecznej w kierunku marksowskim nie będzie. I cóż wtedy? Demokracja wojskowa nie da się powtórzyć, więc pewno przyjdzie do uznania innych metod zapewnienia sobie „poparcia mas", gdzieindziej wypróbowanych przez łódzkich sojuszników, mianowicie metody „sowietów".

Na te rozmowy amatorów rządzenia trzeba zwracać uwagę, bo mniejszość zorganizowana może sprawić niespodzianki większości, o ile ta się nie ma na baczności.

ARGUS

NA MARGINESIE

J. W. Goethe: MINISTER PCHŁA

Żył niegdyś król nad króle,
a miał też—wielką pchłę!
Kochał ją zaś tak czule,
jak własne dziecko swe.

Więc raz na krawca huknie
(a krawiec biegnie w mig!)
„Skrój temu panu suknię
i spodnie — pierwszy szyk"!

Ubrano pchłę w atłasy,
w jedwabie—świetnych barw.
Krzyż miała pierwszej klasy
i dużo wstęg i szarf.

Dostała i orderek,
ministrem była wnet!
A jej krewniaków szereg
do sfery dworskiej wszedł.

Nie zliczyć skarg i chimer,
jakie śród dworzan szły!
Królową i fraucymer
kąsały, gryzły pchły!

Nikt nie śmiał pcheł wypędzić,
ni dusić ich, ni gnieść...
My-jednej nie myślim szczędzić,
ledwo nas pocznie gryźć!

Przełożył J. B.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM